

DGP

Dziennik
Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend

Jak zebrać rozlane mleko

Niezależnie od finału
sporu o Grenlandię
ofiara szarży Trumpa
padnie NATO

/ M3



FOT. GUGLIELMO MANGIAPANE/REUTERS/FORUM

Iran / M6

Krwawy impas

Choć protesty w Iranie osiągnęły
bezprecedensową skalę, tym razem
mało kto wieszczy upadek ajatollahów
pisze Mariusz Janik

Izrael / M10

Tatuaż z gwiazdą Dawida

Armia jest przedstawiana młodym
Izraelczykom jako platforma do zawierania
nowych przyjaźni i dobrej zabawy
relacjonuje Karolina Wójcicka

Gospodarka / M16

Ostatnia deska ratunku

Dzięki umowie z Mercosurem UE pokaże,
że potrafi się rozpychać na scenie globalnej,
a nie tylko biernie patrzeć, jak inni idą jak po swoje
twierdzi Piotr Wójcik

Kaukaz / M13

Nowe mapy na Kaukazie Południowym?

Armenia i Azerbejdżan nie mają wątpliwości: Rosja powróci na Kaukaz. Trwały pokój miałby temu dać odpór pisze Karol Wasilewski

Polityka / M18

Mniej lamentów, więcej rozmowy

Polsce jest potrzebne silne centrum, które skutecznie zaapeluje do ludzi, którzy na co dzień nie żyją polityką przekonuje Jan Szyszko



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Rozpad, czyli nieuchronny koniec

Jan **Wróbel**

Kolejne stronnictwa, które przez pewien czas wyglądały na zagrożenie dla układu PO-PiS, rozpadają się. W przypadku partii Jarosława Gowina i partii Szymona Hołowni mieliśmy szansę obserwowania eksperymentu „Ugrupowanie krytykuje duopol, ale ostatecznie staje się jego częścią”. Eksperyment skończył się tym samym rezultatem: PO oraz PiS trwają, niekonsekwentni kontestatorzy rozpadają się, a towarzyszy temu smutny widok uciekających do silnego gracza przedstawicieli partii pokonanych. I w gruncie rzeczy smutny widok niezłomnych, którzy trwają przy swoich sztandarach do końca. Nieuchronnego.

Czy będziemy obserwować podobny eksperyment z Konfederacją? To możliwe etapy. W pierwszym jest zarzekanie się, że o koalicji z PiS (PO?) nie ma mowy. W drugim warunkowa zgoda na to, że należy w tej sprawie przeprowadzić rzeczową, poważną debatę z dala od dziennikarzy. W trzecim podpisanie cennej jak selfie z Yeti szczegółowej umowy koalicyjnej. W czwartym objęcie kilku ministerstw. W piątym rolowanie przez większego koalicjanta. W ostatnim, szóstym, katastrofa słabych, lisi uśmiech silnych. Zważywszy na to, że Konfederacja sama jest koalicją, na dodatek podgryzaną przez mało poczytalnego, lecz popularnego Grzegorza Brauna, możliwości potrąsania nią – a potem rozłupania – będą duże.

Siłą Konfederacji jest szczepionka wielokrotnie przyjęta przez organizm. Przez wiele lat jej działania tego typu nacjonalizm, jaki wyrażali twórcy Ruchu Narodowego, błąkał się na marginesie polityki, brutalnie traktowany przez najważniejsze polskie media. Marsz Niepodległości stał się synonimem słowa „faszizm”. Niewiele lepiej było z nurtem korwinowskim.

Członkowie partii Gowina nie dostawali łupnia przez wiele długich lat – i załamali się przy brutalnej ofensywie Jarosława Kaczyńskiego. Członkowie partii Hołowni poszli na wybory z uśmiechem, a nie z siniakami na plecach. Teraz przegrywają nie tylko z rzeczywistością, ale nawet z programem komputerowym. Kogo nie bili za młodu, ten źle znosi presję.

Samo przechodzenie przez czyszczenie nie stanowi gwarancji odporności w chwilach ataku brutalnych i silnych graczy. Prawdę o Konfederacji poznamy, kiedy wejdzie do rządzącej koalicji. Pogubi grono gorących zwolenników, którzy w swojej głupocie myślą, że ich ukochana partia pozostanie wiecznym krytykiem wielkich. Ugrupowanie nabierze pieczeniary i agentów. Dostanie wspaniałe propozycje, ale skierowane do liderów, a nie do całości. Może warto rozważyć, by wokół Rady Liderów Konfederacji stworzyć nieoficjalną doradcą radę byłych liderów tych partii, które przeszły już eksperyment. ©



Wywiad / M16

Energetyczna obfitość

Optymalny mikś energetyczny dla każdego kraju musi spełniać co najmniej trzy kluczowe kryteria: musi być przystępny cenowo, niezawodny i odporny mówi Terrence Keeley

Jak zebrać rozlane mleko



FOT. GUGLIELMO MANGIAPANE/REUTERS/FORUM

Niezależnie od tego, co się dalej stanie z amerykańskimi aspiracjami do zawładnięcia bogactwami Grenlandii, ofiarą szarży Trumpa może paść NATO i polityczna wiarygodność Unii Europejskiej. Jednak wciąż jeszcze jest szansa, by ten kataklizm przynajmniej złagodzić

Witold

Sokała

Jeśli ktoś miał nadzieję, że środowe spotkanie wiceprezydenta JD Vance'a i sekretarza stanu Marca Rubia z ministrami spraw zagranicznych Grenlandii i Danii przyniesie przełom w sprawie arktycznej wyspy, to wykazał się naiwnością. Spektakl będzie trwał.

Na razie wszystko wskazuje na to, że Europa zamierza być w tej rozgrywce reaktywna – biernie czekać, co zrobi Donald Trump, próbować go spowalniać, bombardować dyplomatycznymi protestami, gestami polityków i celebrytów, a nawet złośliwymi memami (dopóki amerykańskie platformy medialne nie obejmą ich cenzurą). Problem w tym, że jeśli Stary Kontynent ma zamiar liczyć się w dalszej grze, potrzebuje czegoś więcej. Na początek chłodnej oceny sytuacji, a potem pomysłu na przejęcie inicjatywy.

Ku radości wrogów

Przyjmijmy najpierw roboczo (i bardzo optymistycznie), że Donald Trump wcale nie jest na serio zainteresowany przejęciem Grenlandii, że chodzi jedy-

nie o gonienie króliczka. Że prawdziwym celem jest np. medialne przykrycie licznych problemów wewnętrznych, a do tego dalsze zmiękczenie europejskich sojuszników. Owszem, te czynniki niewątpliwie mają swoje znaczenie. Tyle że nawet jeśli nie ma tu nic więcej, to przecież wspomniane polityczne potrzeby lokatora Białego Domu i tak nie znikną z dnia na dzień. A już na pewno nie dlatego, że ktoś przedstawi mu choćby najbardziej racjonalne argumenty odwołujące się do prawa międzynarodowego, uniwersalnych wartości i dobra wspólnego. Nie, nawet w takim przypadku publiczne grillowanie Danii (a przy okazji Paktu Północnoatlantyckiego i Unii Europejskiej) będzie kontynuowane ku ucieście fanów Donalda Trumpa, bynajmniej nie tylko tych amerykańskich, wewnątrzujnych też. A także, oczywiście, Chińczyków i Rosjan.

Były prezydent Federacji Rosyjskiej Dmitrij Miedwiediew już ogłosił, że w przypadku dalszego buksowania operacji anektowania Grenlandii przez USA mieszkańcy wyspy mogą i powinni się opowiedzieć za wejściem w skład tejże Federacji. Niby można się śmiać z Miedwiediewa, niegdyś nadziei moskiewskich i petersburskich liberałów, ostatnio delegowanego do zadań propa-

gandysty reżimu, ale publiczne napięcia w obozie transatlantyckim i tak obiektywnie wzmacniają globalną oś zła.

Sytuacja robi się jeszcze trudniejsza, gdy założymy, że Amerykanom faktycznie chodzi o przejęcie Grenlandii. Chwilowo tempo działań w tym kierunku zapewne zmaleje, bo uwaga Waszyngtonu skupi się doraźnie na kryzysie irańskim, a także na dokończeniu spraw w Wenezueli. Można przy tym w ciemno obstawiać z niewielkim ryzykiem błędu, że na obu frontach też szybko nie zapanuje spokój, a Donald Trump nie odniesie na żadnym z nich spektakularnego sukcesu, o jakim marzy. Opór materii jest zbyt duży, a sprawczość USA – niewątpliwie ogromna – dotyczy jednak głównie czynników wojskowych i makroekonomicznych, a to nie załatwi sprawy.

Wniosek jest taki, że po prawdopodobnej pauzie Waszyngton wróci do kwestii grenlandzkiej – z jeszcze większym przytupem. A my powinniśmy wykorzystać darowany czas na pilne opracowanie sensownej strategii.

Siłą czy sposobem

Przy całkiem realistycznym założeniu, że Amerykanie nie odpuszczą, mamy

trzy scenariusze. Pierwszy, już wspomniany, to przedłużanie przez nich presji politycznej i medialnej nawet w nieskończoność, ale bez podejmowania konkretnych, ostatecznych działań w terenie. To wariant mało prawdopodobny, bo z czasem zamiast zysków przynosiłby Trumpowi coraz poważniejsze straty wizerunkowe – przyprowadziłby mu gębę polityka po prostu nieskutecznego. Ponadto nie należy lekceważyć rozbudzonych aspiracji biznesowego zaplecza prezydenta, które już liczy potencjalne zyski z dobrania się do grenlandzkich zasobów naturalnych, zwłaszcza gdy przyjdzie do zbierania funduszy na kampanię wyborczą.

Dlatego prędzej czy później (raczej jednak nieco prędzej) pozostaną scenariusze nr 2 – rozwiązanie siłowe – oraz nr 3, czyli sprowokowanie referendum na wyspie, wygranie go i zmuszenie Danii i reszty Europy do zaakceptowania tych decyzji. Z opcjonalnymi wersjami, czyli np. z rozłożeniem całego procesu inkorporacji Grenlandii na etapy. Ale sens będzie z grubsza ten sam.

Powiedzmy sobie szczerze: Stany Zjednoczone mają dobre instrumenty do przeprowadzenia obu scenariuszy zdobycia Grenlandii. Zapewne wolałyby ten miękki, przynajmniej tak wynika z licznych deklaracji. To teore- ▷

tycznie ma sens, ale uważajmy. Równie dobrze możemy mieć do czynienia z celowym usypianiem czujności kontrpartnerów, gdy tymczasem przygotowania do inwazji wojskowej idą w Pentagonie i kilku wyznaczonych sztabach pełną parą, a element zaskoczenia ma ułatwić błyskotliwy sukces. Niezłe by to pasowało do mentalności ekipy rządzącej dzisiaj Stanami Zjednoczonymi. Także z czysto profesjonalnego, militarnego i wywiadowczego punktu widzenia jest to plan sensowny. Jedynym problemem dla generałów byłby brak zielonego światła od polityków. Ale że stary świat norm i wartości kona, to generałowie mogą sobie pozwolić na więcej. Zwłaszcza ci, którzy dysponują najlepszymi śmiertcionośnymi narzędziami na świecie i obiecują politykom nie tylko sukces taktyczny czy operacyjny, lecz także efekt mrozący wobec przeciwników na poziomie strategicznym.

A jeśli nawet nie, to korupcja wyborcza czyni cuda. Dowód tzw. anegdotyczny, czyli oparty na jednostkowym przypadku: oto jeden z portali internetowych z USA zapytał grupę mieszkańców Grenlandii, czy sprzedaliby Danię za 20 tys. dol. na głowę. Ci z oburzeniem odpowiedzieli, że nie, bo pieniądze to nie wszystko. Ale gdy zmieniono kwotę łapówki na 100 tys. dol., odpowiedzi były już twierdzące. Może to fejk i manipulacja, ale i tak świetnie pokazuje mechanizm, na który Trump może liczyć. Sprowokowanie ciągu zdarzeń, pożądanego przez Waszyngton, to kwestia determinacji i odpowiednio dużych pieniędzy. Ani jednego, ani drugiego po stronie amerykańskiej raczej nie zabraknie.

Deficyt armat – i nie tylko

Jeśli USA zdecydują się na scenariusz miękki, to sytuacja Europy oczywiście będzie ciut lepsza. Samej Danii niekoniecznie, ale już Komisja Europejska jest w stanie wyasygnować środki na podjęcie licytacji z Amerykanami, czyli na walkę o serca (i portfele) Grenlandczyków. Przynajmniej teoretycznie, bo w praktyce może się okazać, że solidarność europejska znów jest większa na parlamentarnych mównicach i w studiach telewizyjnych niż przy kasie. Tym bardziej że europejscy sojusznicy Trumpa nie darują sobie okazji, by pytać głośno o sens płacenia przez podatnika słowackiego, polskiego, portugalskiego, a zwłaszcza francuskiego i niemieckiego za duńskie panowanie nad Grenlandią. Usłużne farmy trolli i algorytmy poniosą te pytania w przestrzeń. Suflowane odpowiedzi też. A politycy będą mieli na karku jakiś wybory i postanowią nie drażnić elektoratu...

Nawet ten pozornie lepszy dla Europy scenariusz może więc doprowadzić do naszej klęski. Podwójnej – bo Grenlandia i tak będzie za jakiś czas amerykańska, natomiast Unia okaże się bezzębna nawet w obliczu wyzwań pozamilitarnych, co poważnie podkopie jej autorytet również w oczach dotychczasowych zwolenników. W dodatku można się spodziewać festiwalu

wzajemnych oskarżeń i żali – pomiędzy poszczególnymi państwami i partiami politycznymi. I znów: poza Trumpem najbardziej ucieszą się Rosjanie i Chińczycy, bo w tym wzburzonym stawie łatwiej będzie łowić nowe rybki, a te złowione uprzednio zadaniować do dalszego kołysania łódkami.

Podobnych efektów można oczekiwać, gdy Waszyngton postawi na scenariusz siłowy. Albo dlatego, że uzna go za lepszy marketingowo i w dodatku, paradoksalnie, być może tańszy – a na pewno szybszy, co może się okazać decydujące w kalkulacji. Albo dlatego, że ten „pokojowy” będzie jednak buksował bez wyraźnych widoków powodzenia. Tak naprawdę wszystko jedno, bo gdy Amerykanie zdecydują się dokonać precedensowego uderzenia na terytorium formalnego sojusznika, mleko rozleje się ostatecznie.

Znów warto zawczasu spojrzeć prawdzie w oczy. Z powodów geograficznych obrona odległej wyspy przed USA – mającymi na jej terenie bazy wojskowe oraz relatywnie krótki dystans do przerzutu wojsk z własnego terytorium, bez trudu pokrywającymi spodziewany teatr wojenny nawet raketami i lotnictwem średniego zasięgu – to zadanie bardzo trudne już przy porównywalnym potencjale militarnym stron. Tymczasem Stany Zjednoczone mają gigantyczną przewagę wojskową nie tylko nad małą Danią. Także nad najsilniejszymi członkami Unii, takimi jak Niemcy i Francja. Również nad Wielką Brytanią, gdyby ta zechciała się zaangażować, co skądinąd wydaje się skrajnie nieprawdopodobne ze względów politycznych i gospodarczych. Co więcej, amerykańska przewaga dotyczy akurat tych zdolności, w których europejskie deficyty są najbardziej dotkliwe, czyli wywiadu i rozpoznania satelitarne, zaawansowanej łączności (i zdolności jej zakłócania), logistyki dalekiego zasięgu, w tym ciężkich samolotów transportowych, liczby i siły ognia jednostek pływających.

Groźna fikcja

W tej sytuacji, znanej przecież doskonale europejskim wojskowym i chyba nawet większości polityków, jakiegokolwiek plany zbrojnego oporu są fikcją. Trudno się przy tym dziwić rządowi w Kopenhadze, który robi dobrą minę do złej gry, zapowiadając, że stacjonujące na miejscu jednostki duńskie w razie ataku podejmą walkę. Po cichu autorzy takich rozkazów, o ile faktycznie zostaną wydane, zapewne liczą, że Trump nie powie „sprawdzam”. A także – już całkiem cynicznie – że ewentualna ofiara z życia garstki dzielnych ludzi, których napastnicy bez wątpienia zmasakrują bez wysiłku, przyniesie profity polityczne decydemom siedzącym w bezpiecznym oddaleniu.

Nieco bardziej dziwią buńczuczne zapowiedzi polityków z innych państw, deklarujących przyjście Duńczykom z odsieczą. Francuzom, bodaj najbardziej chętnym do takich gestów, pewnie leje to miód na skołatane serca, biorąc od uwagę żywy antyamerykański resentyment i wspomnienie własnej dawnej świetności. Odnajdujemy też, że akurat V Republika pod względem wojskowym na tle zdolności unijnych partnerów i tak wyróżnia się pozytywnie, także w zakresie instrumentów ekspedycyjnych (choć z wyposażeniem i szkoleniem bardziej pod kątem interwencji w Afryce, niż w warunkach polarnych). Niemcy natomiast ani nie mają czym walczyć z USA, ani zapewne nie widzą w tym sensu. Polityczny Berlin nie zaryzykuje nawet symbolicznego gestu militarnego, zbyt wiele ma do stracenia w relacjach ekonomicznych ze Stanami Zjednoczonymi. A elektorat przyjąłby to schowanie głowy w piasek z pełnym zrozumieniem, chociaż na razie w niektórych badaniach opinii mówi co innego. O pozostałych państwach unijnych z oczywistych względów nawet nie ma co wspominać.

W tej sytuacji ostantacyjne potrząsanie szabelką oznacza nie tylko hipokryzję. Gorzej – to szalenie ryzykowne rozbudzanie wśród zwykłych Europejczyków, coraz bardziej napompowanych retoryką antyamerykańską, złudnych nadziei. Przebudzenie z tego snu będzie bardzo bolesne. I znów – z korzyścią dla wszystkich przeciwników europejskiej integracji, nie tylko tych amerykańskich. Można bowiem zakładać, że zarówno Rosja, jak i Chiny nie tylko zadeklarują swoje poparcie dla duńskiej Grenlandii (a przy okazji prawa międzynarodowego, standardów oraz wartości), lecz nawet – w przeciwieństwie do państw Europy – podejmą jakieś symboliczne działania militarne. Oczywiście niebezpośrednie, ale rękami swoich trzeciorzędnych sojuszników. Zamach Hutich na amerykańskie bazy, północnokoreańska zblakana rakiet balistyczna, zielone (czy raczej niebieskie) ludziki w kombinazonach bez oznaczeń podcepiające ładunki wybuchowe pod kadłubem amerykańskiego niszczyciela na polarnych wodach... Wszystko poniżej progu otwartej wojny, ale wystarczające, by dać wiatr w żagle propagandzie i skuć wielu Europejczyków do geostrategicznej reorientacji.

Mieć wizję i refleks

W tym wszystkim bodaj najbardziej żal byłoby NATO. Paktu co prawda niepozabawionego wad, ale jednak ostatnio – pod wpływem rosyjskiej agresji przeciwko Ukrainie – zdecydowanie poprawiającego swoje zdolności, przynajmniej na interesującej nas flance wschodniej. Doskonalego także niezwykle istotne narzędzia rozpoznania,

szybkiej reakcji, zwalczania zagrożeń asymetrycznych – czyli tego, co kluczowe dla polskiego bezpieczeństwa. Tymczasem w scenariuszu ataku Stanów Zjednoczonych na innego członka sojuszu to właśnie NATO przyjąłoby najbardziej bolesny cios. Nawet gdyby formalnie go przetrwało, bo mimo wszystko zainteresowane państwa uznałyby, że sojusz nadal jest im do czegoś potrzebny, organizacja byłaby już tylko cieniem samej siebie. W najlepszym razie odbudowa zaufania i ponowne udrożnienie opartych na nim wewnętrznych procedur zajęłoby pewnie dekady.

I dlatego zanim dojdzie do najczarniejszych scenariuszy, warto zadać sobie niepoprawne politycznie i niewygodne pytanie. Być może kraje Europy – wskutek własnych, wieloletnich błędów i zaniedbań nie tylko w dziedzinie bezpieczeństwa – po prostu nie mają aktualnie innego wyjścia niż pogodzenie się z oddaniem Grenlandii Amerykanom? Może powinny schować dumę do kieszeni i przynajmniej tymczasowo skupić się na minimalizowaniu strat? Czyli nie pytać „czy?”, ale raczej „jak?” – jak to przeprowadzić, żeby jak najmniej ucierpiała sama Unia, a przede wszystkim, żeby nie doprowadzić do katastrofy NATO?

Taki plan ma liczne, oczywiste wady, ale po pierwsze, pozwala przejąć inicjatywę, choćby częściowo. Po drugie, wytrąca sporą część narzędzi z rąk chińskich i rosyjskich – gdy będziemy odpowiednio starannie udawać, że uznajemy „słuszne aspiracje amerykańskie” i negocjujemy jedynie technika- lia, a nie popadamy w obłęd niszczącego konfliktu pomiędzy najsilniejszymi politycznie i ekonomicznie państwami Zachodu. Po trzecie, przy odrobieniu szczęścia i talentu w zamian za hołd złożony geniuszowi Donalda Trumpa i potędze Ameryki (wiem, to będzie bolesne dla wykonawców, ale płacimy politykom za robienie z uśmiechem gorszych rzeczy) może da się coś wynegocjować? Coś, co zaspokoi zrانونe ambicje, ale też realnie zrekompenzuje straty. Nie tylko w sensie czysto materialnym. Dla Kopenhagi, ale również wielu innych stolic i narodów Europy, sensownym zamiennikiem panowania nad Grenlandią (i tak przecież w gruncie rzeczy mało efektywnego) mogłoby być zwiększenie ich bezpieczeństwa od zagrożeń ze Wschodu. Na przykład mocniejsze i trwałe zaangażowanie Amerykanów na Bałtyku, w tym nawet jakiś śmiały plan biznesowy dotyczący przyszłego statusu enklawy królewskiej, a także działań w Ukrainie i na Białorusi.

Gra jest warta świeczki, ale wymaga śmiałej wizji i sprawnej dyplomacji zamiast taniego schlebienia emocjom wyborców i płonnych nadziei, że jakoś to będzie. No i refleksu, bo zanim z ofertą win-win wystąpią w Brukseli i Waszyngtonie Skandynawowie (może z nami?), może się okazać, że to Paryż po cichu sprzedał Grenlandię za amerykańską pomoc w subsaharyjskiej Afryce albo Berlin za coś innego.

Sentymenty sentymentami, ale warto przypominać: polityka jest przede wszystkim sztuką możliwości. I wykonywania okazji. ©

Dla Kopenhagi i wielu innych stolic Europy, sensownym zamiennikiem panowania nad Grenlandią mogłoby być zwiększenie ich bezpieczeństwa od zagrożeń ze Wschodu

AUTOPROMOCJA



INFOR

 Zał. R. Pieńkowski w 1987 r.

NAJNOWSZE ZMIANY W PRAWIE PRACY 2026




Komplet poradników o tematyce prawnopracowniczej, niezbędnych w pracy specjalistów z zakresu kadr i płac oraz pracowników działów HR. W publikacjach z serii „Niezbędnik kadrowo-płacowy” szczegółowo omówiono najnowsze zmiany w prawie pracy w 2026 r., m.in. w zakresie naliczania stażu pracy, jawności wynagrodzeń oraz sporządzania i rejestrowania układów zbiorowych pracy. Kompleksowo omówiono kwestie związane z obowiązkami pracodawców i uprawnieniami pracowników, wyliczaniem należnych składek i świadczeń pracowniczych oraz rozliczaniem płac i ewidencjonowaniem czasu pracy.

Szczegóły na  sklep.infor.pl



Biuro Obsługi Klienta:  22 761 30 30, 801 626 666

 bok@infor.pl

Świat

Krwawy impas

Choć protesty w Iranie osiągnęły bezprecedensową skalę, tym razem niewielu wieszczy upadek ajatollahów. Wydaje się, że obie strony pełzającej wojny domowej trwają w klinczu

Mariusz

Janik

Widziałem na własne oczy: strzelali prosto w demonstrantów. Ludzie upadali, gdzie stali – opowiadał reporterom BBC nieco ponad 40-letni Omid, uczestnik protestów w jednym z mniejszych miast na południu kraju. – Walczymy z brutalnym reżimem gołymi rękami – stwierdził, choć było to raczej posępne stwierdzenie faktu niż wojownicza deklaracja woli walki.

Ale śmierć nie czai się wyłącznie na demonstracjach. Reza i Mariam wracali do domu po jednym z protestów w Teheranie, on troskliwie otaczając ją ramieniem. – Nagle poczułem, że moja ręka zawisła w próżni – powiedział Reza. Mariam została śmiertelnie postrzelona, nie wiadomo, z której strony przyleciała kula. Przez półtorej godziny niósł jej ciało, mieszkańcy przypadkowo mijanego domu dali mu prześcieradło, by je owinął.

– Piątek (tydzień temu – red.) był śladnym dniem. Siły bezpieczeństwa tylko zabijały, zabijały, zabijały. Oglądanie tego na własne oczy sprawiło, że kompletnie straciłam ducha – relacjonowała jedna z mieszkanki Teheranu w anonimowej rozmowie. – W czasie wojny obie strony mają broń. Tu ludzie mogą tylko skandować i ginąć – dodawała.

Szpitala w całym kraju są przepełnione. Lekarze relacjonują, że olbrzymia większość trafiających do nich ludzi ma rany głowy, torsu, ramion. „Times of Israel” cytuje medyków ze szpitali w Teheranie, którzy twierdzą, że rzucone przeciw demonstrantom siły celowo strzelają ze śrutu prosto w twarze. I na tym nie poprzestają, najwyraźniej próbując zakomunikować manifestującym, że szpitale też nie są bezpiecznym azylem. – Agenci przyjeżdżają aresztować rannych lub ich spisać. Ludzie zaczęli się gromadzić u wejścia do placówki, żeby im w tym przeszkodzić – powiedziała stacji Deutsche Welle Szirin, pielęgniarka z jednego ze szpitali w prowincji Ilam. – W tym samym czasie zabrakło krwi do transfuzji, wezwaliśmy dawców w mediach społecznościowych. Ale pazdarzy (Korpus Strażników Rewolucji, pa-

ramilitarna formacja reżimu – red.) i inne jednostki specjalne uniemożliwiły im dotarcie. Niektórych nawet zatrzymano – dodała.

Oblężenie jej szpitala trwało dobę. Zakończyło się szturmem na placówkę. – Używali broni, gazu łzawiącego i ognia. Bili pacjentów, rannych, personel i rodziny kijami. Rozpylili gaz w całym budynku, niektóre dzieci z oddziału pediatrycznego miały problem z oddychaniem – mówiła Szirin. – Zachowywali się z dziką brutalnością. Obrzucali ludzi obelgami seksualnymi i etnicznymi, ubliżając wszystkim. Ludzie przeraźliwie krzyczyli – dorzuciła.

Podobne, a może nawet gorsze – niekiedy może chodzić wręcz o egzekucje zastanych w szpitalach demonstrantów – sceny rozgrywają się w całym kraju. W mediach społecznościowych pojawiły się setki filmów z miejsc, w które siły bezpieczeństwa zwożą ciała zabitych. Z reguły to budynki gospodarcze, parkingi, skwery, dziedzińce. Między ciałami wędrują ludzie, próbując znaleźć bliskich. Nawet jeśli ich znajdą, to pazdarzy domagają się, by wcześniej, nim wydadzą ciało, zapłacono im za wystrzelone kule. Human Rights Activists News Agency (HRANA) podała w środę, że liczba śmiertelnych ofiar ataków sił reżimu na demonstrantów sięgnęła 2571 osób. Ale już bazująca w Norwegii organizacja Iran Human Rights szacuje, że zginęło co najmniej 3428 osób. Sami demonstranci podkreślają, że poległo znacznie więcej ludzi. Zdają się wyliczenia sięgające 12 tys. ofiar.

Ceny, wolność, dyktator

Pierwsze iskry zaczęły padać na beczkę prochu już we wrześniu, kiedy przywrócono sankcje ONZ na Iran. – Sytuacja gospodarcza jest trudna, lecz teraz będzie jeszcze gorzej. Wpływ sankcji już widać: kursy obcych walut rosną, co doprowadzi do podwyżek cen. Standard życia już jest znacznie niższy niż ledwie dwa czy trzy lata temu – mówił wówczas Dariusz, 50-letni inżynier z Teheranu, który rozmawiał z dziennikiem „The Guardian”.



W innych mediach cytowano przedsiębiorców i kupców, którzy wieszczyli, że będą musieli zamknąć biznesy.

Tym bardziej że kurs riala poleciał na łeb na szyję, a izraelsko-amerykańskie naloty na Iran – i zabicie osób kluczowych dla struktur bezpieczeństwa w państwie, w tym dowódców pazdarów i armii – mogło wywołać wrażenie, że reżim jest bezzębnym tygrysem. Swoje dodały także kryzysy związane z zaniedbaniami infrastruktury i środowiska: deficyt bieżącej wody dotyczący duże metropolie, a zwłaszcza Teheran (nieco wcześniej władze kraju zaczęły publicznie rozważać przeniesienie stolicy do innego miasta), czy kłęby smogu i innych zanieczyszczeń, którymi oddychają mieszkańcy dużych ośrodków. Ceny zaczęły szaleć: w październiku odnotowano inflację na poziomie 48,6 proc., do grudnia spadła do 42,2 proc. Co gorsza, najołseńsze wzrosty cen nie ominęły żywności.

Gdy Zachód odpoczywał po świętach Bożego Narodzenia, przepowiednie z jesieni zaczęły się spełniać: właściciele sklepów z telefonami komórkowymi i elektroniką zaczęli demonstracyjnie zamykać swoje punkty w galeriach handlowych i okolicach stołecznego Wielkiego Bazaru. „Nie bójcie się, jesteśmy w tym razem” – relacjonowała Al-Dżazira okrzyki wznoszone przez tłumek właścicieli sklepów, które słycać na wrzucanych do sieci filmikach. Protestujący zaczęli namawiać do takiej samej manifestacji niezadowolonych właścicieli sąsiednich sklepów, przyłączali się także przychodnie – i już pierwszego dnia zostali potraktowani gazem łzawiącym przez skierowane na miejsce oddziały prewencji. Państwowe media lakonicznie doniosły wówczas o proteście,

przypisując jego przyczyny wyłącznie rosnącym kursom walut – w domyśle, skutkiem kłopotów Zachodu.

Skutek był odwrotny do zamierzonego. Nie tylko handlarze z Teheranu nie otworzyli w poniedziałek sklepów, lecz także zaczęli się nich przyłączać kupcy w innych miastach. Wśród wykrzykiwanych haseł częściej było słycać „wolność” niż „ceny”, a internet obiegiło zdjęcie demonstranta, który – siadając pośrodku jednej z głównych ulic Teheranu – próbował zablokować przejazd kolumny sił bezpieczeństwa niczym Buntownik (Tank Man) z Tienanmen. W ciągu kolejnych kilkudziesięciu godzin demonstrantów przybywało i zaczęli się zachowywać śmielej: w odpowiedzi na gaz łzawiący, pierwsze kule i aresztowania zapłonęły śmietniki, protesty przeniosły się przed lokalne i centralne instytucje państwowe, okrzyki „śmierć dyktatorowi” stały się przewodnym mottem manifestacji.

Reżim próbował zmienić taktykę, zarządzając zamknięcie wszystkich sklepów w 21 z 31 prowincji kraju pod pretekstem złej pogody. Ale protesty ogarnęły już praktycznie cały Iran, do tej pory odnotowano je w 180 miastach i ponad pół tysiąca lokalizacji, w tym na bazarach i centrach handlowych w Teheranie, Araku, Isfahanie, Szirazie, Kermanszah, Maszhadzie czy mateczniku ajatollahów – Kom. Rozszerzyła się także baza demonstrantów, bo rychło po pierwszych dniach do kupców dołączyli studenci, przedstawiciele klasy średniej, w niektórych miejscach podobno też policjanci. Na ulice wychodzą zwłaszcza mieszkańcy zachodniej i centralnej części kraju, co jest dosyć naturalne: to prowincje bogatsze, ludniejsze, ale też zamieszkałe często przez silne mniejszości etniczne, Azerów czy Kurdów. A polityczny kon-



FOT. VAHID SALEMI/API/EAST NEWS

Uczestniczki prorządowej manifestacji w Teheranie, 14 stycznia 2026 r.

tekst demonstracji już po pierwszych dniach przysłonił skargi na ceny czy gospodarczą zapaść kraju.

Władze już dwa tygodnie temu porzuciły taktykę udawania, że nic się nie dzieje: do pierwszej masakry oponentów doszło tuż po Nowym Roku, do chwili obecnej aresztowano ponad 18 tys. ludzi, w całym kraju odcięto internet, zamknięto przestrzeń powietrzną nad Iranem. Przynajmniej w Teheranie zorganizowano kontrmanifestację. Najwyższy Przywódca, sędziwy ajatollah Ali Chamenei, otwarcie grozi protestującym i Waszyngtonowi, który tradycyjnie został obsadzony w roli inicjatora społecznego niezadowolenia. Ruszyły też – na nieznaną dokładność, ale na pewno olbrzymią skalę – egzekucje części aresztowanych uczestników zamieszek.

Protesty poniżej radarów

Miliony – takiej mglistej odpowiedzi udzielają eksperci pytani o to, ile osób wzięło dotychczas udział w antyrządowych protestach. W mediach powtarzana jest ta sama fraza, co w latach 2022–2023 – podczas demonstracji po śmierci Mahsy Amini, pobitej do nieprzytomności przez policję obyczajową za brak odpowiednio „skromnej” prezencji, czyli chustę zsuniętą na tył głowy – że to „protesty największe w historii reżimu”. I być może tak jest, bo o realnej skali antyreżimowego wystąpienia Irańczyków nie wiemy praktycznie nic. Protestów nikt w szczególności nie koordynuje, w ostatnich dniach – wskutek represji – część demonstrantów wykrzykuje antyreżimowe hasła ze swoich balkonów, podwojek czy bocznych uliczek, tak by w razie zagrożenia od razu się ukryć.

Na pewno jednak nie można powiedzieć, że są to wystąpienia bez precedensu. W ostatnich dekadach konfrontacji między narodem a reżimem było bez liku: fali studenckich wystąpień z 1999 r. – w apogeum irańskiej wiosny, czyli pierwszej prezydentury stosunkowo liberalnego duchownego Mohammada Chatamiego – poświęcono kilka książek, olbrzymią uwagę świata przykuła także powyborcza konfrontacja reprezentującego umiarkowanych reformatorów Mir Hosseina Musawiego i twardego głowy prezydenta Mahmuda Ahmadineżada w 2009 r., wreszcie wspomniana fala gniewu po śmierci Amini w 2022 r.

Ale poniżej radaru przemykają światowym mediom protesty na tle ekonomicznym, a tych było w ostatnich latach znacznie więcej. W 2017 r. – również 28 grudnia – wybuchły demonstracje w drugim co do wielkości w kraju mieście Maszhad. To metropolia tyleż religijna, ile biedna i ówczesna statystyka – dowodząca, że co trzeci Irańczyk żyje poniżej progu ubóstwa – idealnie do niego pasuje. W ciągu nieco ponad tygodnia demonstracje rozszerzyły się na cały kraj, z wystąpień na tle biedy i korupcji przerodziły się w protest antyreżimowy, a skończyły pacyfikacją tłumów i aresztowaniem co najmniej 5 tys. osób.

Nie opadła jeszcze fala represji, jak w kwietniu 2018 r. w kurdyjskiej części Iranu rozpoczął się strajk sklepikarzy, a po nim w maju strajk kierowców ciężarówek, w czerwcu protest na teherańskim Wielkim Bazarze przeciw deficytowi wo-

dy w mieście, w październiku – nauczycieli przeciw niskim płacom i inflacji, a w kolejnych miesiącach kolejno pracowników przemysłu, rolników, kolejarzy. Fala demonstracji, strajków i pokazowego zamykania sklepów opadła dopiero w połowie 2019 r., ale nigdy nie nastąpił jej kres, racjonowanie wody bowiem wprowadzało ludzi na ulice jeszcze kilkakrotnie, zwłaszcza latem 2021 r. Bywało też, że protesty pokrywały się ze sobą – np. te związane z brakiem wody z 2021 r. nie wygasły do reszty, gdy wybuchły już zamieszki po śmierci Amini. Oprócz tego regularnie wybuchają zamieszki w prowincjach ze znaczącym udziałem ludności nieperskiego pochodzenia, jak irański Kurdystan, Sistan i Beludżystan czy zamieszkiwany przeważnie przez arabską mniejszość Chuzestan. Przypomnijmy, że jeszcze w maju ub.r. po raz kolejny strajkowali kierowcy ciężarówek.

Daleko do upadku

To, co wydaje się najistotniejsze, można odczytać zarówno wprost, jak i między wierszami: to pogłębiająca się przepaść między reżimem a grupami społecznymi, które przez dekady stanowiły jego zaplecze. Najlepszym przykładem są handlarze i sklepikarze: bazari. Przez półwiecze bazari byli siłą napędową Rewolucji Islamskiej – pieniądze kupieckiej kasty, stosunkowo dobrze sytuowanej, ale też konserwatywnej i religijnej, gwarantowały meczetom stabilność i niezależność, oliwiły aparat propagandy ajatollaha Chomeiniego przed upadkiem monarchii i jego inicjatywy po ucieczce szacha. Ich głos, wpływy i pieniądze liczyły się, tym bardziej że duchowni z ambicjami do tworzenia teokracji musieli się wpiąć w uporządkowaną opozycję – formacjami mudżahedinów ludowych, fedainów ludowych, komunistami z Tudeh czy narodowcami z laickiego Frontu Narodowego – a wkrótce z wrogiem zewnętrznym, Saddamem Husajnem.

Krok za krokiem, od lat 90. począwszy, reżim stopniowo uniezależniał się od bazarich. Być może dlatego następcą Chomeiniego – obecny Najwyższy Przywódca Ali Chamenei – dał państwu wolną rękę w sprawach gospodarczych, torując drogę do powstania gospodarczego państwa w państwie, kontrolowanego w pełni przez Korpus Strażników Rewolucji oraz urząd Najwyższego Przywódcy.

Miejska biedota i drobni rolnicy z prowincji także stanowili jeden z filarów reżimu: żarliwie wsłuchani w słowa duchownych biedacy głosowali zwykle na przedstawicieli jastrzębiej frakcji rewolucyjnego establishmentu, a gdy trzeba było – z gołymi rękami stawali w jego obronie, wobec realnych i wyimaginowanych wrogów. A władze odwodziły ich subsydiami lub bardziej lapidarnie, jak Mahmud Ahmadineżad, który demonstracyjnie nosił najtańsze marynarki i kurtki, a na wiecach (w trakcie kampanii reelekcyjnej w 2009 r.) rozdawał swoim wyborcom worki ziemniaków. I ten sojusz najwyraźniej dobiegł końca.

– Nawet odległe dzielnice Teheranu były wypełnione protestującymi, nie uwierzcie które – powiedziała BBC jedna z uczestniczek ostatnich protestów. Łatwo zgadnąć, że chodzi o południowe regiony stolicy: najbardziej zuboż-

7-milionowej metropolii, której zwykle nie po drodze było ze zweternizowanymi mieszkańcami bogatych dzielnic na północy. Alians zaczął pękać zapewne już w tych latach, kiedy władze musiały się z ekonomicznych powodów zacząć wycofywać z szeroko zakrojonego subsydiowania kluczowych produktów – od żywności po paliwo. Ale rozpadł się do reszty w ostatnich latach, gdy poza podwyżkami władze zawiodły w rozwiązywaniu podstawowych problemów – jak zapewnienie bieżącej wody czy zanieczyszczenie powietrza.

Problem jednak w tym, że nawet rozpad wcześniejszych sieci poparcia dla reżimu nie oznacza automatycznie jego upadku. Protesty, które wybuchły ponad dwa tygodnie temu, to kolejna nieskoordynowana fala niezadowolenia, pozbawiona liderów, klarownych celów, które można by przedstawić rządzącym w postaci mniej lub bardziej ostrego ultimatum. Sytuacja jest nieporównywalna do lat 1978–1979, kiedy to szach tłumiał demonstracje, ale nie był w stanie zmierzyć się ze strukturami, które za nimi stały: klerem, uzbrojoną miejską partyzantką formacji takich jak mudżahedini ludowi, środowiskiem prodemokratycznie nastawionych intelektualistów, związkowcami. Dziś takie struktury nie istnieją: z częścią reżim zdołał się przez pół wieku rozprawić, otwarcie lub skrytobójczo, inni działają od lat na emigracji i ich przełożenie na sytuację w kraju jest minimalne. Demonstranci noszą co prawda portrety szacha i flagi Iranu sprzed Rewolucji, ale nic nie wskazuje na to, by wpływy rodziny szacha w ojczyźnie były więcej niż symboliczne.

Niewiele zmienia tu też wsparcie Białego Domu dla demonstrantów. Owszem, prezydent Donald Trump ogłosił, że dzięki jego zabiegom – czy też może pogrożkom – reżim wstrzymał egzekucje zatrzymanych uczestników protestów. Ale pewności w tej sprawie nie ma, zresztą w każdej chwili reżim może się ze swoich obietnic wycofać. 25-procentowe cła wprowadzone wobec państw, które handluje z Iranem, zapewne w założeniu mają być próbą pośredniego wywarcia presji na reżim w Teheranie (najwięksi jego partnerzy zagraniczni to Chiny, Irak, Emiraty i Turcja), ale o ich skuteczności dopiero się przekonamy – przez dekady zarówno Iran doskonalił metody szmuglu, jak i jego partnerzy doprowadzili do perfekcji techniki przemykania oczu. Opcja militarna, która według Waszyngtonu jest na stole, to wreszcie kolejna mglista pogrożka – zwłaszcza biorąc pod uwagę tempo i impet, z jakim rok temu USA przyłączyły się do izraelskich nalołów na Iran, dysproporcja reakcji jest uderzająca.

To jest ta zła wiadomość dla protestujących: nie zapowiada się, by skądś miała nadejść odsiecz. Ale jest też być może dobra – gdzieś poniżej radarów lokalnych i globalnych mediów, w nieustannie powracających falach protestów może się rodzić przyszlą zwarta opozycja. Może poprowadzi ją jakiś ambitny kierowca ciężarówki, sfrustrowany nauczyciel, zagłodzony robotnik albo plajtujący bazarowy kupiec, a może jakiś zesłany na wewnętrzną emigrację mułła o bardziej liberalnych poglądach. Tak czy inaczej, z miesiąca na miesiąc reżim coraz bardziej oddala się od społeczeństwa. ©

Ich to po prostu nie obchodzi

Wielu liberalnych syjonistów uważa, że każdy głos sprzeciwu wobec działań Izraela jest wyrazem antysemityzmu. Reszta świata nie rozumie zaś, że walczymy z terrorystami

Z Lee

Mordechaiem

rozmawia Karolina Wójcicka

Niedawno na łamach „Jewish Currents” opublikował pan artykuł, w którym przekonuje pan, że Izraelczycy pogrążają się w „zbiorowej amnezji”. Po wejściu w życie zawieszenia broni w Strefie Gazy wrócili do normalnego życia, bez żadnej refleksji na temat wojny. Jak to możliwe?

Wystarczy spojrzeć wstecz. Od czasu wycofania się Izraela ze Strefy Gazy (w 2005 r. – red.) doszło do kilku serii przemocy. Dynamika każdej z nich była w gruncie rzeczy podobna. Na ogół Izrael ignoruje Gazę, ale pewnego dnia coś się wydarza i agresja gwałtownie narasta. Szybko staje się to tematem numer jeden. Zazwyczaj po kilku dniach lub tygodniach działania zbrojne się kończą. A wtedy Gaza wpada do czarnej dziury pamięci, znowu zostaje zepchnięta na margines uwagi.

Taka była rzeczywistość przed 7 października 2023 r. Pamiętam, że w 2021 r., w czasie poprzedniej eskalacji przemocy, wszystko, co się wiązało z Gazą, wydawało się niezwykle pilne i ważne. Ale po zawieszeniu broni wróciliśmy do normalnego życia i w dużej mierze ignorowaliśmy resztę wydarzeń – aż do 7 października. Ostatnie dwa lata to jedynie kolejna, dłuższa fala przemocy. Bardziej destrukcyjna i śmiertelna, ale w istocie podobna do wcześniejszych. Tutaj, w Izraelu, wojna nie zmieniła w zasadniczy sposób tego, jak Izraelczycy postrzegają Gazę oraz Palestyńczyków, którzy tam mieszkają.

Może zmieniła ich sposób postrzegania na gorsze?

Tak i nie. O Palestyńczykach nie mówi się w mediach. W Izraelu jest obecnie dość zimno jak na tutejsze standardy, a mimo to bardzo niewiele słychać o tym, że od ponad dwóch lat ludność cywilna w Gazie żyje w prowizorycznych namiotach i cierpi. Kilka osób zmarło z zimna, ale to się nie przebija. W pewnym sensie ignorowanie Palestyńczyków jest nawet gorsze niż otwarta wrogość, bo czyni

ich niewidzialnymi. Uważam, że to właśnie jest istotą dehumanizacji. Ludzie nie zastanawiają się nad tym, ile mrówek zabił, bo mrówki nie są uznawane za wystarczająco ważne. W podobny sposób traktowani są Palestyńczycy.

W swoim artykule pisze pan, że tak jest od początku istnienia państwa Izrael: po 1948 r., gdy doszło do Nakby, czyli czystki etnicznej narodu palestyńskiego, Izraelczycy szybko doznali zbiorowej amnezji. Wówczas nie było internetu ani mediów społecznościowych, więc znacznie łatwiej było odciąć się od innych narracji. Dziś Palestyńczycy i ich sojusznicy nieustannie publikują informacje o swojej sytuacji.

Izraelczycy tak naprawdę nigdy nie konsumowali tego rodzaju treści. Oczywiście nie dotyczy to wszystkich, ale ogólnie rzecz biorąc, większość nie interesuje się historiami Palestyńczyków. Ich to po prostu nie obchodzi. W 2025 r. przeprowadzono sondaż, z którego wynikało, że ok. dwóch trzecich respondentów nie chce nagłaśniania problemów ludności cywilnej w Gazie w izraelskich mediach. Ironią jest, że wcześniej treści na ten temat praktycznie nie było. Widać więc odmowę skonfrontowania się z rzeczywistością. Podam jeden przykład. Uczę historii na Uniwersytecie Hebrajskim. Przed wojną nie prowadziłem zajęć z zakresu Bliskiego Wschodu, a tym bardziej współczesności. Jestem historykiem średniowiecza i starożytności. Obecnie prowadzę kurs poświęcony wojnie w Gazie i to jedyne takie zajęcia na moim uniwersytecie. Z tego, co wiem, na uczelniach w Izraelu są prowadzone zaledwie trzy kursy dotyczące Gazy.

Pana zajęcia cieszą się popularnością wśród młodych Izraelczyków? To pokolenie, które uchodzi za bardziej prawicowe niż jego rodzice czy dziadkowie.

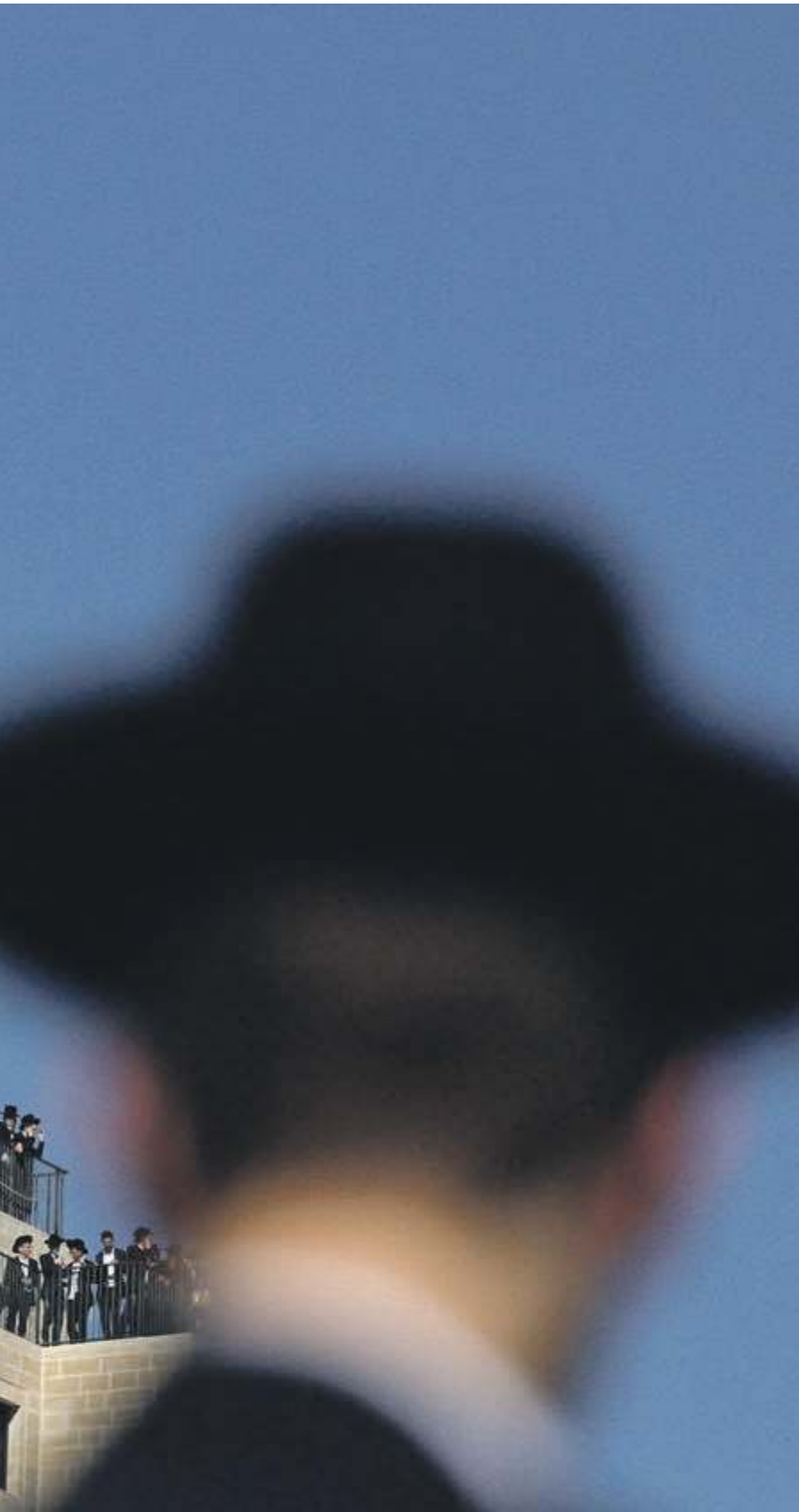
Tak, to prawda. Izrael charakteryzuje się dość interesującą dynamiką – do pewnego stopnia odwrotną niż w większości innych krajów demokratycznych, a nawet tzw. demokracji aspirujących. Młodsze pokolenia są



u nas wyraźnie bardziej prawicowe niż starsze. Mimo to kurs, który prowadzę już drugi rok z rzędu, cieszy się dużą popularnością. To dla mnie zaskakujące. Nie jestem do końca pewien, z czego to wynika. Może uchodzę za radykalnego lewicowca, więc niektórzy chcą przyjść i mnie posłuchać? Mówiąc poważniej, uważam, że wszystko to odzwierciedla głęboką ignorancję oraz brak chęci zajmowania się choćby podstawowymi aspektami izraelsko-palestyńskiego konfliktu. Kiedy zadaję studentom elementarne dla zrozumienia sytuacji pytania, często nie potrafią na nie odpowiedzieć. I nie jest to ich wina. System skutecznie utrzymuje ich w niewiedzy. Ani w szkole, ani – z tego, co mi wiadomo – w czasie obowiązkowej służby wojskowej młodzi ludzie nie uczą się o konflikcie. Również na uczelniach temat ten jest zwykle

pomijany. Kiedyś było nieco inaczej. Przed wycofaniem się ze Strefy Gazy dość wielu Palestyńczyków przyjeżdżało stamtąd do pracy w Izraelu. Umożliwiało to kontakty między ludźmi, przynajmniej do pewnego stopnia. Nie chcę tego idealizować, bo rzeczywistość była bardziej złożona, ale przynajmniej istniała jakaś forma relacji. Obecnie większość Izraelczyków nigdy nie była w Gazie, a większość Palestyńczyków z Gazy nigdy nie spotkała Izraelczyków. Dehumanizacja staje się najprostszym rozwiązaniem.

A może to wcale nie jest amnezja? Może Izraelczycy są świadomi tego, co się wydarzyło w Gazie, ale nie uznają tego za moralnie złe, więc żyją bez poczucia winy? Chodzi raczej o to, że ten temat zniknął z ich pola widzenia. Jedną



FOT. AMMAR AWAD/REUTERS/FORUM

ze strategii przyjętych przez Izrael w czasie wojny było systematyczne ograniczanie informacji napływających z Gazy. Osiągnięto to na kilka sposobów. Przede wszystkim nie wpuszczono tam zagranicznych dziennikarzy. Nie ma więc ludzi, którzy mogliby swobodnie podróżować, spotykać się z Palestyńczykami i wysłuchiwać ich historii.

Siły Obronne Izraela (IDF) organizują czasami wyjazdy do Gazy dla zagranicznych reporterów, ale trudno uznać to za niezależne dziennikarstwo.

To relacjonowanie działań IDF. Samo w sobie może to mieć wartość, ale nie jest rzetelnym opisywaniem rzeczywistości, w której żyją ponad 2 mln ludzi. Drugim elementem strategii Izraela była kampania uciszania pa-

lestyńskich dziennikarzy działających w Gazie. Przypadki zastraszających są dobrze udokumentowane. I częściowo okazały się one skuteczne. Krytycy zamilkli lub złagodzili swoje wypowiedzi. Inni zostali zmuszeni do wyjazdu. Część palestyńskich dziennikarzy opuściła Strefę Gazy w czasie wojny, a wielu innych zostało zabitych. Latem 2024 r. pojawiła się strona internetowa, która podawała, że śmierć poniosło ok. 10 proc. palestyńskich dziennikarzy i pracowników mediów. Istnieją różne szacunki, ale najczęściej mówi się o 200-300 osobach. Nie sądzę, że był to przypadek. Uważam, że to wynik świadomej polityki. Niektórzy zabici dziennikarze byli przedstawiani jako członkowie Hamasu, lecz nie zaprezentowano żadnych przekonujących dowodów na poparcie tych twierdzeń.

Według pana szczególną odpowiedzialność ponoszą liberalne elity i media w Izraelu, które zawiodły moralnie, nie sprzeciwiając się okrucieństwu w Gazie. Wiosną 2025 r. lider centrolewicowej Partii Demokracji Jair Golan w jednym z wywiadów ostro skrytykował działania rządu, twierdząc, że „zabijanie dzieci jest hobby Izraela” i że ten kraj wkrótce stanie się pariasem, podobnie jak RPA w czasach apartheidu. Jednak wkrótce złagodził swoją retorykę. Czy jego zachowanie wynikało wyłącznie z nadchodzących wyborów parlamentarnych? Golan to dobry przykład. Gdy dekadę temu był zastępcą szefa sztabu generalnego IDF, stwierdził, że dostrzega w izraelskim społeczeństwie – cytuję – tendencje wskazujące na „odrażające procesy”, które miały miejsce w nazistowskich Niemczech lat 30. XX w. Był wówczas bardzo krytyczny wobec działań państwa. Później zyskał spore uznanie za swoje zachowanie 7 października – chwycił za broń i pojechał na południe, by ratować ludzi (przed Hamasem – red.). Mimo to bardzo mnie rozczarował. Ma wyraźny kłopot ze skrytykowaniem tej wojny. Ludzie próbowali nakłonić go do zabrania głosu, lecz bezskutecznie. Oczywiście częściowo można to tłumaczyć nadchodzącymi wyborami i oporem przed tworzeniem wrażenia bycia kimś, kto oferuje alternatywę dla prawicy. Nie uważam tego jednak za wystarczające usprawiedliwienie. Pozostają rozczarowany jego postawą jako przedstawiciela izraelskiej liberalnej elity.

Czy po dwóch latach wojny liberalowie mają jakąś realną propozycję, która pozwoliłaby przerwać spiralę przemocy?

Prawica ma swoje rozwiązanie. Skrajna prawica, zwłaszcza religijna, również. Ale nie sądzę, by liberalni syjoniści oferowali jakąś realną odpowiedź.

Rozwiązaniem jest dla nich utrzymanie status quo?

Tak, ale to nie jest prawdziwe rozwiązanie, bo to ono doprowadziło do ataku z 7 października 2023 r. A mimo to liberalni syjoniści nadal się go trzymają. W istocie to właśnie próbują teraz robić: wrócić do dawnego porządku. Moim zdaniem to nie działa i nie może zadziałać. To strategia, która w dużym stopniu ignoruje szerszy, globalny kontekst. Stany Zjednoczone nie są już tym samym krajem, którym były wcześniej. Wystarczy spojrzeć na to, co się dzieje w Partii Republikańskiej. Kiedyś była ona jednoznacznie proizraelska, a dziś są w niej postaci takie jak Nick Fuentes, który otwarcie wyraża prohitlerowskie i antysemickie poglądy. Równocześnie narasta sprzeciw ze strony progresywnego skrzydła Partii Demokratycznej. Nie sądzę, by powrót przywódców w stylu Joego Bidena był możliwy.

Izraelczycy nie wydają się skłonni do uznania wyrządzonych Palestyńczykom krzywd ani do zmiany postępowania. Co musiałoby się

wydarzyć, by uświadomili sobie, że w Gazie doszło do ludobójstwa? To się nie wydarzy w najbliższym czasie. Z izraelskiej perspektywy cena za to, co się wydarzyło w Gazie, była bardzo niska. Izrael jako kraj nie poniósł żadnych znaczących konsekwencji swoich działań. Weźmy przykład Eurowizji. Wydarzenie to podzieliło Europę, co wydawało się poważną sprawą. Eurowizja była przecież wspólnym projektem kulturowym. Jednak kilka krajów zdecydowało się nie wziąć w nim udziału (z powodu niewykluczenia Izraela – red.), co dla mnie ma duże znaczenie. Z izraelskiego punktu widzenia narracja była całkiem inna: wygraliśmy, bo nadal jesteśmy uznawani za uprawnionych uczestników. Skoro nas chcą, to ignorujemy politykę i po prostu śpiewajmy piosenki. Nie ma realnego sprzeciwu. Na świecie nie odnotowano prawie żadnych aresztowań Izraelczyków (w związku ze zbrodniami w Gazie – red.). Pojedyncze osoby, które zostały zatrzymane, zazwyczaj zwalniano po kilku godzinach czy dobie. Na tym się kończy odpowiedzialność. Co prawda Międzynarodowy Trybunał Karny wystawił nakazy aresztowania wobec premiera Binjaminu Netanjahu i byłego ministra obrony Jo'awa Galanta, ale wygląda na to, że nikt tak naprawdę się tym nie przejmuje. Nawet Polska chciała rok temu zaprosić Netanjahu na obchody wyzwolenia obozu w Auschwitz.

Wyszła z tego afera.

Wielu moich przyjaciół, krewnych, studentów i współpracowników – w tym ci, którzy określają się jako liberalni syjoniści – mówi, że każdy głos sprzeciwu wobec działań Izraela i wojny jest wyrazem antysemityzmu. Wszyscy są przeciwko nam, a my jakimś cudem ciągle trwamy. A skoro tak, to mamy rację. Zrobiliśmy w Gazie to, co musieliśmy zrobić. Taka jest cena wojny. Reszta świata nie rozumie zaś, że walczyliśmy z terrorystami. O marznących z zimna albo umierających z głodu dzieciach nikt nie chce słyszeć. To do nich nie dociera. Dlaczego więc mieliby uznać, że doszło do ludobójstwa? Nawet mówienie o zbrodniach wojennych jest kontrowersyjne. Ostatnio widziałem nagłówek o tym, że nowy prokurator generalny zamierza ułaskawić żołnierzy oskarżonych o gwałt. I człowiek myśli: naprawdę? Ale tak właśnie to tutaj działa. Wojsko i rząd chronią swoich. Ochrona ta oznacza, że nikt nie musi się nad niczym zastanawiać ani niczego krytykować. W gruncie rzeczy nikt tego nie chce robić. Bo po co? Przecież Palestyńczycy to terroryści. ©



FOT. MAT. PRASOWE

Lee

Mordechai

historyk Bizancjum na Uniwersytecie Hebrajskim

Tatuaz z gwiazdą Dawida

Armia jest przedstawiana młodym Izraelczykom jako platforma do zawierania nowych przyjaźni i dobrej zabawy. Miejsce, w którym broni się ojczyzny i jednocześnie nagrywa ze znajomymi układy taneczne na TikToka

Karolina

Wójcicka

Itamar Greenberg miał stawić się na służbę 7 sierpnia 2024 r. w bazie wojskowej Tel Haszomer niedaleko Tel Awiwu. To standardowa procedura, objęci są nią wszyscy obywatele Izraela po ukończeniu 18. roku życia. Itamar nie zamierzał jednak wypełniać swojego obowiązku wobec państwa. Mówił, że nie chciał uczestniczyć ani w masowym zabijaniu Palestyńczyków, ani w okupacji ich terytoriów. W Izraelu ludzi takich jak on określa się mianem „mesarvot” (po hebrajsku) lub refuseników (z angielskiego). Termin ten pierwotnie odnosił się do Żydów, którym odmówiono prawa emigracji ze Związku Radzieckiego do Izraela, ale z czasem wszedł do języka potocznego jako określenie młodych osób, które odmawiają obowiązkowej służby wojskowej ze względu na wolność sumienia.

Buntowników wśród izraelskiej młodzieży jest niewiele, choć po wybuchu wojny w Strefie Gazy stali się bardziej widoczni. Swoją sprzeciw wyrażają publicznie: spotykają się w centralnych punktach miast i demonstracyjnie palą wezwania do wojska, krzycząc przy tym, że Izrael popełnia ludobójstwo. Swoje działania relacjonują w mediach społecznościowych i regularnie udzielają wywiadów mediom z całego świata. – To bardzo mała społeczność, wszyscy dobrze się znamy – opowiadał mi Itamar. Cały ruch może jego zdaniem liczyć nie więcej niż 100 osób, choć podkreślał, że niełatwo to oszacować, bo nie wszyscy decydują się na publiczną manifestację sprzeciwu wobec służby wojskowej. Niektórzy po prostu zdobywają lewe zwolnienia od psychiatry i ułatwiają sprawę po cichu. Oni również dorobili się przydomka – mówi się, że to „grey refuseniks”, refusenicy z szarej strefy.

Izrael: państwo apartheidu

Z Itamarem spotkałam się w kawiarni Babka Bakery na placu Habima w Tel Awiwie, niedługo po tym jak kolejna

grupa nastolatków spaliła tu swoje dokumenty. To zabetonowane miejsce z niewielką ilością zieleni jest symboliczne dla wszystkich, którzy z różnych powodów sprzeciwiają się prowadzonej przez Izrael wojnie. Rozpoczyna się tutaj wiele protestów – zarówno tych w obronie Palestyńczyków, jak i skupionych wyłącznie na kwestii zakładników. Zwykle zbiegają one do położonej niedaleko Ha-Kirji, osiedla rządowego, na którego terenie znajduje się zarówno siedziba ministerstwa obrony, jak i Sztab Generalny Sił Obronnych Izraela. Od 7 października 2023 r. Itamar wziął udział w niezliczonej ilości takich demonstracji. Stał się ikoną ruchu antywojennego, choć w Izraelu częściej postrzegany jest jako zdrajca. Głównie dlatego, że wywodzi się z najbardziej skrajnego – zdaniem wielu rodaków – kręgu ludzi sprzeciwiających się narracji, iż obie strony cierpią po równo, i unikających jak ognia słowa „konflikt”. Według nich w rzeczywistości nie dorastali w konflikcie izraelsko-palestyńskim, lecz w państwie apartheidu. Ideowo znajdują się dalej na lewo niż tacy działacze jak Alon-Lee Green, którzy – jak podkreślił Itamar – są problematyczni. W domyśle: zbyt umiarkowani, zbyt ostrożni w tonie. Mój rozmówca wyglądał jak osoba, która kręci się w alternatywnym środowisku. Miał dłuższe, kręcone włosy, luźne ubrania. Przyszedł lekko rozkojarzony. Tłumaczył, że jego znajomy trafił do aresztu po proteście i prosto po naszej rozmowie będzie musiał iść go stamtąd wydostać. Chyba zawiódł się też nieco, że w Babce nie sprzedają alkoholu i nie będzie mógł opowiedzieć mi swojej historii z butelką piwa w ręku.

A ta – jak na kogoś, kto dopiero wkracza w dorosłość – okazała się dość brutalna. Po odmowie odbycia służby wojskowej Itamar został aresztowany i przewieziony do wojskowego więzienia Newe Cedek niedaleko miasta Kefar Jona w środkowym Izraelu. To specyficzne miejsce, w którym czuł się jak w więzieniu i w armii jednocześnie. Obowiązywała surowa musztra, mówił, trzeba było stać przez wiele godzin dziennie, reagować okrzykiem na komendy i odpowiadać na wszelkie rozkazy oficerów. Na początku było najtrudniej. Trafił do izolatki. Uwa-





zał, że próbowano go w ten sposób przestraszyć. Oficjalnie chodziło jednak o zagrożenie dla jego życia. Chłopak przyznał, że nie czuł się w Nowe Cedek bezpiecznie. Więzienie wojskowe, do którego trafiają żołnierze, to nie najlepsze miejsce dla nastolatka, który sprzeciwia się wszystkiemu, co robia. Współosadzeni dawali zresztą wyraz swojej niechęci. Przy wspólnych posiłkach w stołówce głośno komentowali jego wpisy w mediach społecznościowych. – Pamiętam, jak jeden z nich zapytał resztę: „No dobra, to co z nim zrobimy?”. W odpowiedzi usłyszałem: „Porozmawiamy o tym później”. Ja siedziałem wtedy po drugiej stronie stołu – relacjonował Itamar. – Tak, czułem się zagrożony, ale mogli przecież przenieść mnie do innego oddziału, nie musieli od razu wsadzać mnie do izolatki – zauważył.

Po miesiącu wyszedł na wolność i został poproszony o ponowne stawienie się na służbę. Władze liczyły, że krótki pobyt w więzieniu złamie buntownika i skłoni go do zmiany zdania. Jednak Itamar był zdeterminowany i po raz kolejny odmówił wstąpienia do armii. Natychmiast wrócił więc za kraty. – Ten proces powtórzył się sześć razy. Odmawiałem, a oni wsadzali mnie na kolejny miesiąc, po czym natychmiast prosili, bym znów stawił się do służby – opowiadał. Przy szóstej próbie wypuścili go po dwóch dniach. – Chyba w końcu się poddali – stwierdził.

Buntownicy za kratami

W więzieniu spędził w sumie 197 dni. Według Mesarvot, organizacji powstałej w 2016 r., kary dla nastolatków odmawiających służby wojskowej stają się coraz surowsze. To bezpośredni skutek wojny w Strefie Gazy. Wyrok Itamara był najdłuższym od początku lat dwutysięcznych, choć wciąż krótszym od kary, którą odbył Giora Neumann, nazywany pierwszym refusenikiem. Syn polskich imigrantów spędził za kratami rok. Służby w tym, co nazywał armią okupacyjną, odmówił w 1971 r., cztery lata po tym, jak Izrael rozpoczął okupację Strefy Gazy w wyniku wojny sześciodniowej. Był to okres, kiedy – jak wykazała izraelska historyczka Idith Zertal – na taki krok decydowali się niemal wyłącznie outsiderzy: osoby spoza głównego nurtu syjonizmu, dzieci niedawnych imigrantów, często o poglądach komunistycznych.

Zertal pisała, że Neumann uważał całe wojsko za „skażone” zbrodniami okupacji, a wszystkich żołnierzy – nawet tych na tyłach – za współwinnych ich popełnianiu. „Okupacja rodzi opór, opór rodzi represje i tak wkoło. To nie są wartości, w których dorastałem. Zarówno w szkole, jak i w domu wychowywano mnie w duchu miłości do ludzi i szacunku wobec wszystkich. Uczono nas, jak odrażające są uciski i poniżanie innych. Z tego, co rozumiem, działania Sił Obronnych Izraela na okupowanych terytoriach sprowadzają się właśnie do ucisku, poniżania i wysiedlania” – przekonywał przed sądem Neumann. Przy swojej decyzji wytrwał, mimo że spotykał się z zastraszaniem, a prasa go poniżała.

Itamar również uważał, że warto było poświęcić swój komfort w imię wyższego celu. Mówił: „To nie jest normalne, że w Gazie panuje głód, a my siedzimy sobie teraz w Tel Awiwie i pijamy wodę, której Palestyńczykom bardzo brakuje”. Pobyt w Nowe Cedek przygotował go zresztą do kolejnych aresztowań – trafiał za kraty także w związku z protestami, które współorganizował. Na jednym z nich miał na sobie koszulkę z napisem po hebrajsku i arabsku: „«Tak» dla pokoju. «Nie» dla wojny”. Z pozoru nie było w tym hasła nic kontrowersyjnego. Policjantom musiało się ono jednak bardzo nie spodobać, bo po przewiezieniu go na dołek kazali mu zdjąć antywojenny t-shirt i założyć taki z napisem „Am Israel Chai”, „Naród Izraela żyje”, sloganem wyrażającym siłę i jedność narodu żydowskiego. Funkcjonariusze nagrywali go, wyzywali od lewicowych terrorystów i grozili, że następnym razem wytatuują mu na twarzy gwiazdę Dawida. Izraelskie służby często stosują tę taktykę wobec Palestyńczyków. Ale Itamar był pierwszym Żydem, którego potraktowano w ten sposób. – To było coś bezprecedensowego, mówili o tym nawet w publicznej telewizji. Choć gdy robią tak Palestyńczykom, nikt się tym nie interesuje – przyznał.

Przywódca refuseników

Z Itamarem spotkałam się przede wszystkim po to, by się dowiedzieć, jak to możliwe, że przeszedł przez ten sam system edukacji co jego rówieśnicy, a mimo to doszedł do radykalnie innych wniosków na temat działań izraelskiej armii. Izraelczyk roześmiał się, kiedy poruszyłam ten temat. – To dobre pytanie, ale chyba nie znam na nie odpowiedzi. Gdybym znał, pewnie udałoby mi się przekonać więcej osób do podobnej decyzji – odrzekł. Jak stwierdził, przeszedł długą drogę, by zamiast w wojsku znaleźć się na czele ruchu refuseników. Dorastał w ultraortodoksyjnej rodzinie żydowskiej, w społeczności, która nie cieszy się szacunkiem pozostałych Izraelczyków. Haredi – jak w Izraelu określa się ultraortodoksów – stanowią około 13 proc. społeczeństwa i często bywają postrzegani jako dziwacy oraz darmozjadzy. Wielu z nich nie pracuje, spędza całe dni w jeshiwach na studiowaniu Tory i utrzymuje się z zasiłków. Do niedawna Haredi byli też całkowicie zwolnieni ze służby wojskowej, co reszta społeczeństwa uważała za rażącą niesprawiedliwość. Od znajomej, której nie po drodze jest z religią, usłyszałam kiedyś: „Gdy przechodzę przez ortodoksyjne dzielnice Jerozolimy, czuję się, jakbym była w obcym państwie. To dla mnie zupełnie inni ludzie, inna kultura”. A to i tak był jeden z najłagodniejszych komentarzy, z jakimi się spotkałam.

Nie dziwiło mnie więc, że Itamar jako nastolatek był przekonany, iż jedynym sposobem, by mógł stać się pełnoprawnym członkiem izraelskiego społeczeństwa, jest wstąpienie do armii. Zapisał się nawet

na półroczny kurs przygotowawczy do służby wojskowej, przeznaczony dla osób, które zdecydowały się odejść ze swojej ultraortodoksyjnej wspólnoty. Pewnie ukończyłyby go bez zająknięcia, gdyby w tym samym czasie nie zaczęły się kształtować jego poglądy polityczne. Nastolatek opowiadał mi, że najpierw uświadomił sobie, iż bliskie są mu lewicowe wartości, takie jak równość płci. Później zainteresował się kwestią praw zwierząt, przeszedł na weganizm. – W Izraelu łatwiej dostrzec prawa zwierząt niż Palestyńczyków – zaśmiał się. Dopiero na końcu tego procesu politycznego dojrzewania w jego głowie pojawiła się Palestyna. Zaczął czytać książki historyczne, buszować w internecie, bo – jak stwierdził – poczuł, że w tym, czego go uczono, czegoś brakowało. – Zajęło mi dużo czasu, żeby zrozumieć, że nie jesteśmy najbardziej moralnym narodem na świecie – przyznał. Dziś nie ma już nic wspólnego z poprzednim życiem. Kipę zastąpił kolczykiem w nosie, wiarę w Wielki Izrael – koncepcję państwa obejmującego biblijne, maksymalistyczne granice Ziemi Izraela – poczuciem solidarności z sąsiadami. Zamiast wyjechać na front, postanowił rozpocząć studia prawnicze. – Kiedyś nie lubiłem prawa – mówił – ale szybko się okazało, że całe moje życie zaczęło się wokół niego obracać.

Decyzje, które podjął, nie należały do najłatwiejszych. Rozpoznawalność, jaką zdobył po odmowie służby, przysporzyła mu sporo problemów. Stał się niechcianym celebrytą – na ulicy bywa wyzywany, ludzie plują w jego stronę. Gdy mi o tym opowiadał, sprawiał jednak wrażenie, jakby niewiele go to obchodziło. Nie będzie to fajne, tłumaczył, jeśli któregoś dnia ktoś go pobije. – Ale mówi się: „Trudno”, to część mojej pracy – wzruszył ramionami. Przemoc wobec osób, które sprzeciwiają się wojnie, jest w Izraelu dość powszechna, nie tylko ze strony funkcjonariuszy policji. W pamięć zapadł mi szczególnie jeden z protestów niedaleko Bramy Nowej w Jerozolimie. Zorganizowała go grupa kobiet – studentek, emerytek, Żydówek, muzułmanek – z nieformalnego ruchu Women Sit for Peace, co dosłownie oznacza: „Kobiety siedzą dla pokoju”. I gdy tak siedziały w ciszy na ziemi z banerami „Stop ludobójstwu” i „Stop okupacji”, podbiegł do nich młody człowiek w białej kipli. – Jakie „Stop okupacji”? Co to ma znaczyć? Wy głupie lewaczki, mam wyjąć broń? Zrobicie to! – darł się, otwierając plecak. W tym samym czasie awanturować zaczęła się inna kobieta, która akurat tamtędy przechodziła. – Szkoda, że (hamasowcy – red.) nie zgwałcili i zamordowali waznych rodzin – krzyczała. Zdarzenie to zostało nagrane i szybko stało się internetowym wiralem. Innym razem sama doświadczyłam tej złości. Podczas demonstracji w Tel Awiwie sięgnęłam po plakat rozdawany przez wolontariuszy, przedstawiający wygłodzone palestyńskie dziecko. Chciałam zrobić mu zdjęcie. Zanim zdążyłam złapać za telefon, podeszła do mnie rozwścieczona para starszych Izraelczyków krzycząc po hebrajsku, wyrwali >

mi plakat z rąk. – Ludzie w Izraelu nie dopuszczają do siebie myśli, że popełniamy ludobójstwo. Każdego, kto tak twierdzi, wyzywają od antysemitów. Oni naprawdę wierzą, że nie robimy nic złego – mówił mi Itamar. – Ale gdy widzą zdjęcia zniszczonej Gazy, skutki działań IDF, czują dumę. Nie ma w tym żadnej logiki.

Wojsko to świętość

Sprzeciw Itamara wobec służby wojskowej nie spotkał się ze zrozumieniem także – a może przede wszystkim – w środowisku, z którego się wywodzi. Znajomi z czasów szkolnych odwrócili się od niego. Rodzina nie wspiera jego działań, choć jak podkreślał, wciąż go kocha. Opowiadał mi, że został kiedyś zapytany, co jest trudniejsze dla jego rodziców: fakt, że ich syn jest niewierzący, czy jego poglądy polityczne. Itamar odpowiedział, że – o dziwo – to właśnie jego poglądy są największym problemem. – Mój rozmówca zażartował wtedy, że syjonistyczny potwór jest silniejszy od samego Boga. Może coś w tym jest – powiedział.

O tym, że służbę wojskową traktuje się w Izraelu jak świętość, mówiła mi także Noa, moja izraelska znajoma. Podczas jednego z naszych cotygodniowych spotkań w jerozolimskim barze Hataklit opowiedziała mi historię swojego młodszego brata Daniela. Moment ukończenia przez niego liceum i konieczność rozpoczęcia służby wojskowej zbiegły się akurat z wybuchem wojny w Strefie Gazy. Poza Noą nikt w ich rodzinie nigdy nie kwestionował polityki Izraela wobec Palestyńczyków – przeciwnie, rodzice otwarcie popierali kampanię wojskową premiera Binjamina Netanjahu. Nie chcieli jednak, aby ich syn trafił na front, wchodząc w dorosłość z wojenną traumą lub, co gorsza, oddając życie za ojczyznę. Chłopak był zdolny, więc rodzice przekonali go, by zamiast odbywać tradycyjną służbę wojskową, skończył studia prawnicze. I tak zaczęły się jego kłopoty. Podobnie jak w przypadku Itamara, niemal wszyscy znajomi odwrócili się od niego, uznając tę decyzję za zdradę. Co prawda przed wojną zainteresowanie Studą rosło, ale po 7 października młodzi obywatele uznali, że lepiej zająć się „prawdziwą” walką. Państwo mierzyło się przecież z tym, co wielu z nich uważało za największą tra-

gedię Żydów od czasów Holocaustu. Nie rozumieli, dlaczego ktoś w chwili próby mógłby uchylać się od służby. Dla nich sytuacja była oczywista: trzeba jak najszybciej jechać do Gazy i mordować terrorystów. Na uniwersytecie Daniel również czuł się obco. Większość studentów była od niego znacznie starsza. W Izraelu kobiety odbywają dwuletnią służbę wojskową, mężczyźni zaś spędzają w armii prawie trzy lata. Do tego wielu z nich decyduje się później na rok przerwy, by odreagować czas spędzony w armii. W efekcie studia licencjackie rozpoczynają w wieku, w którym ich rówieśnicy w Polsce najczęściej mają już za sobą zdobycie pierwszego dyplomu. Chłopak nie wytrzymał presji. Rzucał studia i poszedł do wojska.

Zrozumiał, że wybór innej drogi nie ma większego sensu, że tylko w szeregach IDF poczuje się w powrotem częścią społeczeństwa. Tak zresztą armia jest przedstawiana młodym Izraelczykom – jako platforma do zawierania nowych przyjaźni i dobrej zabawy. Miejsce, w którym broni się ojczyznę i jednocześnie nagrywa ze znajomymi układy taneczne na TikToka. Zdaje się, że taki był cel ojców założycieli Państwa Izrael. Przywódca ruchu syjonistycznego i pierwszy premier tego kraju Dawid Ben-Gurion mówił: „Przyznaję, że kocham Siły Obronne Izraela żarliwą i głęboką miłością. Widzę w wojsku nie tylko twierdzę, która nas zabezpiecza, choć to byłoby wystarczające, lecz także siłę kształtującą Żyda, cement łączący naród oraz niezawodne narzędzie absorpcji imigrantów”.

Jak być prawdziwym Izraelczykiem

O centralnej roli armii w izraelskim społeczeństwie opowiadała mi również Rela Mazali – znana izraelska aktywistka, nominowana w 2005 r. do Pokojowej Nagrody Nobla. W 1998 r. współzałożyła ruch New Profile, który oferuje pomoc prawną osobom decydującym się na odmowę służby wojskowej. Jej zdaniem Izraelczyków od najmłodszych lat uczy się, jak być przykładnymi żołnierzami. Przygotowania do służby, testy sprawnościowe, badania medyczne czy wybór preferowanych jednostek – cały ten proces rozpoczyna się na długo przed założeniem munduru. – Właściwie wszystkim ma swój początek już w przedszkolu – tłumaczyła. To właśnie tam dzieciom przedstawia się żołnierzy jako bohaterów, wybawców, fascynujące postacie. Najmłodszy Izraelczyk przygotowują paczki dla wojskowych i piszą do nich listy w podziękowanie za to, że chronią kraj przed niebezpieczeństwem. Przedstawiciele IDF przy-

Karolina Wójcicka

„Z nakazu Boga. Izraelczycy i wojna w Strefie Gazy”,
Wydawnictwo Mando, Kraków 2026



chodzą do nich na zajęcia, nierzadko z bronią, co zdaniem Mazali czyni te wizyty jeszcze bardziej „ekscytującymi”. Zazwyczaj, mówiła, odbywają się one w okolicach Dnia Niepodległości, bo „tak właśnie świętuje się niepodległość w Izraelu – z karabinem w ręku”. Zresztą wojskowy przekaz dominuje w izraelskich szkołach nie tylko przy okazji świąt. Mazali opowiadała, że w jednej ze szkół podstawowych na ścianie zawieszono swego czasu wielki plakat z napisem: „Kto chciał nas zabić?”, a poniżej znalazła się długa lista oprawców: od faraona, przez Adolfa Hitlera, aż po Arabów. – Nic dziwnego, że później uważają służbę wojskową za konieczność, że nie dostrzegają, jak bardzo to jest nienormalne w porównaniu z innymi krajami – przyznała ze smutkiem.

Jednak, jak podkreślała, problemem nie jest wyłącznie sama edukacja, lecz także to, że wojsko przenika każdą sferę życia – jest obecne dosłownie wszędzie. I nie chodzi tylko o to, że żołnierzy spotyka się tu na każdym kroku: w pociągu na trasie Jerozolima–Tel Awiw, w supermarkecie czy w modnej kawiarni, gdzie młode rekrutki w mundurach w kolorze khaki popijają matche z karabinem przewieszonym przez ramię. Broń noszą zresztą nie tylko służby, lecz także cywile – Izraelczycy zabierają ją na uczelnię, spacer po plaży, a nawet na wieczorne piwo ze znajomymi. Po dłuższym pobycie w tym kraju zaczyna się ją postrzegać jako zwyczajny element krajobrazu – niemal tak, jakby karabinek M4 był równie oczywistą częścią ubioru jak szmaciana torba z logo przypadkowej marki.

Liczba wydawanych pozwoleń na broń gwałtownie wzrosła, odkąd premier Netanjahu w 2022 r. wszedł w koalicję ze skrajną prawicą. Minister bezpieczeństwa narodowego Itamar Ben-Gewir jeszcze przed wybuchem wojny w Gazie rozpoczął proces liberalizacji dostępu do broni. Ben-Gewir utrzymywał, że „broń ratuje życie”. Krytycy ostrzegali z kolei, że może to doprowadzić do eskalacji przemocy w kraju, w którym i tak jest ona codziennością.

Jej zdaniem pokazują skalę militaryzacji Izraela. Niektóre firmy, wskazywała, używają wizerunku żołnierzy, żeby sprzedawać towary takie jak ser czy samochód. – Jest to tak powszechne i często subtelne zjawisko, że trudno je opisać komuś, kto nie rozpoznaje tych kodów – dodała. Przedsiębiorstwa opierają swój marketing na założeniu, że służba wojskowa jest „cool”, że wiąże się z ogromnym prestiżem. Weźmy reklamę piwa MaccaBee, kontynuowała, w której najpierw są pokazani żołnierze stojący w szeregu, a potem mężczyzna z plecakiem i dziewczyną u boku. – Ta sekwencja jest bardzo oczywista: najpierw idziesz do wojska, a potem jesteś turystą, wyruszasz na trekking, zwiedzasz świat. Reklama pokazuje ci, co to znaczy „być prawdziwym Izraelczykiem” – tłumaczyła. Według niej firmy nie są świadome, że korzystając z istniejącego prestiżu wojska, jednocześnie go wzmacniają. – I to dzieje się na wielu innych płaszczyznach, jak muzyka czy kino – przekonywała.

Wszystko to wzmacnia w młodych Izraelczykach przekonanie, że muszą żyć z bronią w ręku. W rezultacie do armii garną się zdecydowanie chętniej niż ich rodzice. Również dziewczyny są w coraz większym stopniu zainteresowane służbą w jednostkach bojowych, mimo że w ich przypadku nie jest to obowiązkowe. Doszło wręcz do sytuacji, w której zainteresowanie z ich strony przewyższa gotowość wojska do ich przyjmowania. Za swoją pracę na rzecz państwa wielu Izraelczyków jest później nagradzanych, bo to, czy odejdą służbę wojskową, do pewnego stopnia determinuje także ich zawodową przyszłość. Armia otwiera drzwi do świetnie opłacanego sektora wysokich technologii, motora napędowego izraelskiej gospodarki. Od wielu firm nie dostanie się nawet zaproszenia na rozmowę kwalifikacyjną, jeśli w CV zabraknie wzmianki o służbie.

Refusenicy wierzą jednak, że izraelskie społeczeństwo w końcu zejdzie z tej militarystycznej ścieżki, że ich ruch przestanie być marginalny. Są przekonani, że gdy kurz wojny opadnie, a Izraelczycy zaczną zdawać sobie sprawę z tego, co się wydarzyło w Gazie, zaczną buntować się wraz z nimi. Itamar na koniec spotkania powiedział mi: „Nie ma innej opcji. Nie możemy wiecznie żyć pod bronią. Nie wiem, kiedy i w jaki sposób do tego dojdzie. Ale wiem, że to się wydarzy, bo takie systemy zawsze w końcu upadają. Tak, okupacja też w końcu upadnie”.

Fragment pochodzi z książki Karoliny Wójcickiej „Z nakazu Boga. Izraelczycy i wojna w Strefie Gazy”, która ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Mando

Broń noszą nie tylko służby, lecz także cywile – Izraelczycy zabierają ją na uczelnię, spacer po plaży, a nawet na wieczorne piwo ze znajomymi. Stała się zwyczajnym elementem krajobrazu

Życie z bronią w ręku

Rela Mazali nie opowiadała mi jednak o broni, lecz o małych detalach, które



Karolina
Wójcicka

dziennikarka DGP,
współautorka podcastu
Bliski Świat

FOT. WOJTEK GÓRSKI



Prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew, prezydent USA Donald Trump i premier Armenii Nikol Paszynian w Białym Domu. 8 sierpnia 2025 r.

Nowe mapy na Kaukazie Południowym?

Armenia i Azerbejdżan nie mają wątpliwości: Rosja powróci na Kaukaz. Także dlatego przyspieszyły próby dojścia do trwalszego pokoju, który jeszcze niedawno wydawał się całkowicie niemożliwy

Karol

Wasilewski

„Skoro już mowa o mapach, to wiecie co? Byłem ostatnio w Mongolii...” – premier Armenii Nikol Paszynian zawiesza głos i uśmiecha się zawadiacko. Widać, że wystąpienia publiczne to jego żywioł, że napawa się każdą sekundą swojego przemówienia, a poczucie władzy, którą ma nad publiką, sprawia mu ogromną przyjemność. Przypomina w tym dobrego stand-upera, który doskonale wie, jak zarządzać tempem skeczu, żeby żart siadł w odpowiednim momencie. „I jak byłem w tej Mongolii, to pomyślałem sobie: O mój Boże, żeby tylko oni nie pokazali mi jakiejś starej mapy, dowodząc swoich praw do naszych ziem!”. Dowcip zadziałał – sala wybuchła śmiechem, doceniając sposób, w jaki Paszy-

nian próbował sobie poradzić z tymi, którzy zarzucają mu, że zdradza Armenię, bo dąży do porozumienia z Azerbejdżanem. Z państwem, które tak niedawno, w 2023 r., doprowadziło do ogólnoarmenijskiej traumy. Jej przyczyną była operacja wojskowa sił azerbejdżańskich skutkująca likwidacją nieuznawanej międzynarodowo Republiki Górskiego Karabachu – parapaństwa zamieszkiwanego przez Ormian.

Premier przemawiał w ten sposób na początku listopada 2025 r. podczas Orbeli Forum – organizowanej w Erywaniu konferencji międzynarodowej o perspektywach pokoju na Kaukazie Południowym. Mówił o pokoju między Armenią a Azerbejdżanem. Wspominał, że jest on czymś zupełnie nowym, a przez to niezrozumiałym – trudno się do niego przyzwyczaić i politykom, i społeczeństwu funkcjonującym przecież od ponad 30 lat w paradygmacie

konfliktu. Podkreślał, że dostrzega ryzyko, iż mentalność będzie sprzyjać konfrontacyjnemu wypowiedziom po obu stronach. Przekonywał jednak, że ma wizję, jak obecne porozumienie między państwami przekształcić w długoterminowy pokój – m.in. dzięki wzajemnemu poszanowaniu integralności terytorialnej, otwarciu korytarzy transportowych i handlowych w regionie. Dlatego za plecami Paszyniana wyświetlana była mapa, która obrazowała potencjał gospodarczo-transportowy Kaukazu Południowego.

Ktoś, kto zapadłby w śpiączkę w okolicach 2020 r., by obudzić się podczas przemówienia premiera, przecierałby oczy ze zdumienia. A gdyby jeszcze dotrwał do panelu, w którym analitycy z Armenii i Azerbejdżanu ramię w ramię dawali odpór Rosjaninowi twierdzącemu, że bez jego państwa nie może być mowy o pokoju na Kaukazie,

uznałby, że znalazł się we wszechświecie równoległym.

Każdy ma swoją konferencję

ADA University – wiodąca uczelnia państwowa w Baku – też ma swoją flagową konferencję. W 2025 r. odbywała się ona w kwietniu, a jej motywem przewodnim był wyłaniający się wielobiegunowy porządek międzynarodowy. Azerbejdżan chce w nim odgrywać ważną rolę jako państwo zwornikowe – element stabilizujący sytuację na Kaukazie Południowym, a także niezbędny łącznik Europy z Azją Centralną.

Rozwiązanie problemu Górskiego Karabachu pozwoliło odblokować część zasobów, które dotychczas były poświęcane na odzyskanie spornego terytorium i przywrócenie integralności terytorialnej państwa. Dzięki wygranej w konflikcie o Górski Karabach Azerbejdżan nabrał też pewności siebie. Wojciech Górecki, analityk zajmujący się Kaukazem w Ośrodku Studiów Wschodnich, nazywał ten stan „zawrotem głowy od >

sukcesów”. To poczucie mocy widać w Azerbejdżanie na każdym kroku. Imponują działania, które Baku już teraz podjęło na rzecz odbudowy Górskiego Karabachu, przede wszystkim infrastruktury, a jeszcze ambitniejsze są plany na przyszłość tego obszaru. Zakładają jego transformację w biznesowe centrum – napędzane zieloną energią i zaludniane przez obywateli zamieszkujących inteligentne miasta i wsie. Niełatwo będzie to osiągnąć, choćby ze względu na zaminowanie olbrzymiej części terytorium, ale Baku jest przekonane, że z czasem i ten problem da się rozwiązać.

Tę pewność siebie było widać także podczas wystąpienia prezydenta Azerbejdżanu İlhamu Alijewa na konferencji organizowanej przez ADA University. Polityk zaznaczył, że konflikt się wyczerpał, ponieważ Baku osiągnęło cel w postaci zapewnienia integralności terytorialnej, jednak był mocno sceptyczny co do przyszłości stosunków z Erywaniem. Jak stwierdził, nie ma w Armenii polityka, który nie życzyłby sobie odzyskania Górskiego Karabachu, nie wyłączając Paszyniana. Nie chciał się rozwodzić na temat długoterminowej wizji dla Kaukazu, powołując się na dotychczasowe doświadczenia, które nauczyły go, że armeński sąsiad nie dąży do integracji regionu. Zdaniem Alijewa Erywań działał w ten sposób przeciw własnym interesom, jakby nie dostrzegając, że mógłby być korytarzem transportowym dla azerbejdżańskich surowców.

Według prezydenta Azerbejdżanu pokój jest możliwy, ale dopiero po zmianie armeńskiej konstytucji. W preambule dokumentu znajduje się bowiem odwołanie do deklaracji niepodległości Armenii, która wspomina o Górskim Karabachu. Paszynian przedstawiał się jako zwolennik takiej zmiany, ale wtedy, w kwietniu 2025 r., na drodze do jej wprowadzenia stanęły konieczność zorganizowania referendum konstytucyjnego i nieufność. W Armenii wierzyło się, że konflikt jest Alijewowi niezbędny do zachowania stabilności wewnętrznej.

Co się zmieniło przez te kilka miesięcy, że przynajmniej jedna z tych przeszkód przestała mieć fundamentalne znaczenie?

Ten, który pogodził Azerbejdżan z... Albanią

Coachingowe porzekadło mówi, że jeśli czegoś nie da się zrobić, to trzeba powierzyć to komuś, kto o tym nie wie. Zdaje się, że jest to też postawa prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa. Jak inaczej tłumaczyć zgłaszane przez niego – jak wyliczył CNN, do kwietnia 2025 r. przynajmniej 53 razy – aspiracje do zakończenia wojny w Ukrainie w 24 godziny?

To jednak, czego nie udało się osiągnąć na froncie rosyjsko-ukraińskim, okazało się w zasięgu ręki w odniesieniu do Armenii i Azerbejdżanu. 8 sierpnia 2025 r. Paszynian i Alijew pojawili się w Waszyngtonie, by w towarzystwie amerykańskiego

prezydenta podpisać deklarację pokojową. Ogłosili przy okazji, że będą pracować nad odbudową szlaków komunikacyjnych, a kluczowy z nich – łączący Azerbejdżan z eksklawą natchiczewską i przebiegający przez terytorium Armenii – będzie się nazywał Szlakiem Trumpa na rzecz Międzynarodowego Pokoju i Dobrobytu (ang. Trump Route for International Peace and Prosperity, TRIPP). Deklaracja waszyngtońska nie była równoznaczna z zawarciem pokoju – na ten wciąż trzeba poczekać, najpewniej do zmiany konstytucji przez Armenię – a szczegóły funkcjonowania korytarzy transportowych pozostają przedmiotem niełatwych negocjacji. Panowie mogli jednak zasygnalizować światu, że traktują normalizację poważnie, na co dowodem były zapisy deklaracji o wzajemnym poszanowaniu integralności terytorialnej i suwerenności państw. Trump zyskał zaś argument do twierdzenia, że udało mu się rozwiązać kolejny konflikt, tym razem ten między Azerbejdżanem a... Albanią.

Nawet to przejęzyczenie czy czołobitne deklaracje Paszyniana i Alijewa, którzy apelowali o przyznanie amerykańskiemu prezydentowi pokojowego Nobla, nie mogły przyćmić rangi wydarzenia. Po pierwsze, pokazywało ono, że to, co dzieje się między Baku a Erywaniem, jest realnym procesem politycznym, a nie maskaradą. Po drugie, włączenie w uzgodnienia Stanów Zjednoczonych – państwa, z którym i Armenia, i Azerbejdżan próbują zbudować silne stosunki bilateralne – wzmocniło jego ciężar. Z jednej strony zbudowało przekonanie, że projekty infrastrukturalno-gospodarcze mogą się zmaterializować dzięki adekwatnemu wsparciu inwestycyjnemu, z drugiej – że USA mogą odgrywać rolę tego trzeciego, który pomoże przezwyciężyć nieufność między kaukaskimi państwami. Wsparcie Waszyngtonu mogłoby np. dotyczyć jednej z najbardziej kłopotliwych kwestii, jaką jest kontrola nad elementami infrastruktury granicznej i transportowej. Armenia chce, aby transfer korytarzem przez jej terytorium odbywał się z poszanowaniem jej suwerenności. Azerbejdżan wolałby, aby jego obywatele podróżujący korytarzem przez Armenię nie byli niepokojeni przez pograniczników i celników. Nietrudno sobie wyobrazić scenariusz – podobno już omawiany między Erywaniem a Baku – w którym rozwiązaniem będzie (amerykańska?) technologia.

Amerykanie nie byli jednak jedynymi zainteresowanymi tym, żeby Armenia i Azerbejdżan zabrały się za normalizację na poważnie. Liczyły na to również Ankara, która kilkanaście lat temu podjęła już próbę odbudowy swych stosunków z Erywaniem – wtedy zablokowaną m.in. przez Baku. Turcy także uważali, że na początek trzeba rozwiązać problem Górskiego Karabachu, a tajemnicą poliszynela było to, że antyarmeńskie deklaracje Azerbejdżanu wywołują w Ankarze irytację. Bliskość kulturowa wyrażana hasłem „jeden naród, dwa państwa”, znacze-

nie Azerbejdżanu dla gospodarki Turcji (wystarczy wspomnieć o ropie i gazie) czy rzekome wsparcie finansowe Baku podczas wyborów parlamentarnych i prezydenckich w 2023 r. powodowały jednak, że Turcja konsekwentnie podkreślała zasadę „najpierw Azerbejdżan”. Ankara miała jednak wywierać zakulisowe naciski na Baku, argumentując, że lepszej szansy na normalizację nie będzie, bo Paszynian zawiesił na niej całą swoją karierę polityczną. Najpewniej czuła również, że w związku z zaangażowaniem Rosji w Ukrainie jest to ostatni moment, aby przybliżyć marzenie o „pantureckim Kaukazie”. W jego ramach Ankara miałaby się stać aktorem stabilizującym sytuację bezpieczeństwa w regionie i kluczowym graczem gospodarczym. Otwarcie granic z Armenią stanowiłoby łakomy kąsek dla tureckich firm budowlanych – i szansę na rozwój Anatolii północno-wschodniej – ale plany Turcji sięgają dużo dalej. W jej strategii Kaukaz Południowy jest postrzegany jako most łączący Turcję z Azją Centralną. Bez jego stabilizacji Ankarze trudno będzie wypracować efektywną politykę względem państw centralnoazjatyckich.

Wyścig z czasem

Po spotkaniu w Waszyngtonie sprawy nabrały tempa. W październiku Baku ogłosiło zniesienie obowiązującej od ponad trzech dekad blokady na tranzyt towarów do Armenii. Decyzja nie była aż tak ważna z punktu widzenia gospodarki – taka będzie dopiero po otwarciu granic między państwami. Była natomiast istotnym sygnałem politycznym – Alijew ogłosił ją w Kazachstanie, a pierwszym transportem miało pojechać zboże z Kazachstanu. Armenia jest skrajnie uzależniona od dostaw z Rosji (najłagodniejsze szacunki mówią o 80 proc.). Doszło także do wymiany delegacji między przedstawicielami „społeczeństwa obywatelskiego” Armenii i Azerbejdżanu – analityków z ośrodków bliskich władzom. W pierwszej połowie grudnia historycznym „pierwszym razie” – państwa porozumiały się w sprawie zakupu ropy, a Gruzja ogłosiła, że wyjątkowo nie pobierze żadnych opłat za tranzyt. W tle tych wydarzeń część środowisk analitycznych z Armenii i Azerbejdżanu zaczęła promować platformę K3+, argumentując, że Erywań, Baku i Tbilisi powinny występować solidarnie wobec aktorów zewnętrznych.

Wysokie tempo jest podyktowane kalendarzem wyborczym – w zaplanowanych na czerwiec 2026 r. wyborach parlamentarnych Paszynian będzie się ubiegał o przedłużenie swoich rządów. Mało kto ma wątpliwości, że kontynuacja zbliżenia z Azerbejdżanem jest możliwa tylko pod jego kierownictwem. Premier zresztą doskonale zdaje sobie z tego sprawę. W ostatnich miesiącach rozpoczął rozprawę z opozycją, m.in. tzw. klanem karabaskim, wywołując szczególne kontrowersje atakiem na władze cieszącego się sporym społecznym poparciem Apostolskiego Kościoła Ormeńskiego. W Erywaniu można usłyszeć, że Paszynian wypowiada

się gładko, gdy mówi do zagranicznych gości, natomiast nie jest tak subtelny wobec własnego społeczeństwa. Kontrowersje rodzi też tempo forsowanych przez niego zmian, np. decyzja o usunięciu z pieczętliki paszportowej Arartu, ważnego dla Ormian symbolu tożsamościowego, wdrożona niemalże z dnia na dzień.

Baku zachowuje się, jakby wreszcie zrozumiało, że dalej może iść tylko z Paszynianem. Dlatego na Kaukazie spekuluje się, że Azerbejdżan może się zdecydować na udzielenie mu wyraźniejszego wsparcia. Obserwatorzy zastanawiają się np., czy Alijew, w towarzystwie prezydenta Turcji Recepta Tayyipa Erdoğan, nie pojawi się na zaplanowanym na maj 2026 r. szczycie Europejskiej Wspólnoty Politycznej w Erywaniu. Z kolei środowiska analityczne w Armenii spodziewają się, że na wiosnę może się odbyć zaimprovizowana na szybko ceremonia otwarcia budowy TRIPP-u. Od dziennikarzy w Ankarze można usłyszeć, że tym razem to Baku namawia tureckich polityków do normalizacji stosunków z Armenią przed zmianą ormiańskiej konstytucji. Plotki pojawiają się niemal tak dynamicznie, jak kolejne decyzje Paszyniana – najnowsza głosi np., że premier ogłosi wszystkie i zdecyduje się na wcześniejsze wybory, aby zredukować ryzyko porażki do zera.

Trudno uniknąć wrażenia, że na to olbrzymie tempo procesu politycznego między Armenią a Azerbejdżanem wpływają wydarzenia wokół Ukrainy. Oba państwa nie mają złudzeń co do tego, że Rosja „powróci” na Kaukaz, a znając jej wieloletnią tradycję do rozgrywania Armenii i Azerbejdżanu przeciw sobie, chcą się jak najlepiej do tego powrotu przygotować. To przekonanie nie jest nieuzasadnione, gdy weźmie się pod uwagę już teraz nasilone działania dezinformacyjne Rosji w Armenii. Ranga tych obaw wzrasta jednak dodatkowo w obliczu wyrozumiałości administracji Trumpa wobec rosyjskich interesów czy zapisów Strategii Bezpieczeństwa Narodowego sugerujących, że również USA może podobać się świat podzielony na strefy wpływów.

Czy przy tych uwarunkowaniach ktoś może zagwarantować, że Amerykanie nie wpadną na brawurowy pomysł współpracy z Rosjanami w ramach TRIPP-u albo po prostu nie stracą zainteresowania Armenią i Azerbejdżanem? A czy bez ich zaangażowania możliwe będzie ostateczne przezwyciężenie nieufności między Erywaniem a Baku? Analitycy lubią odpowiadać na takie pytania, używając frazy „czas pokaże”. W tym przypadku rezerwa jest zbędna, bo przy tak skomplikowanej układance, z jaką mamy do czynienia na Kaukazie Południowym, usunięcie istotnego klocka może spowodować wywrócenie całej konstrukcji. Armenia i Azerbejdżan muszą się zatem spieszyć, jeśli nie chcą wrócić do rzeczywistości, w której żarty o mapach są opowiedane tylko przez aktorów zewnętrznych. ©

Autor jest kierownikiem zespołu Turcji, Kaukazu i Azji Centralnej w Ośrodku Studiów Wschodnich

Gospodarka



FOT. WÓJTEK GÓRSKI

Ostatnia deska ratunku dla Europy

Piotr Wójcik

Kontrowersyjna umowa handlowa Unii Europejskiej z czterema państwami Ameryki Południowej (Argentyną, Brazylią, Paragwajem i Urugwajem) została przegłosowana przez Radę Europejską. Warszawa starała się o stworzenie mniejszości blokującej, jednak na ostatnim etapie negocjacji odpadły z niej Włochy. Ostatecznie przeciwko porozumieniu opowiedziały się jedynie Polska, Francja, Węgry, Irlandia i Austria, a Belgia wstrzymała się od głosu.

Weto naszego rządu było w dużej mierze rytualne. Donald Tusk stał się zagorzałym przeciwnikiem umowy z Mercosurem tylko po to, aby zrobić ukłon w stronę chylących się na prawo koalicjantów z Polskiego Stronnictwa Ludowego i ich wyborców. Z kolei opozycja prezydenta Karola Nawrockiego prawdopodobnie wyraża jego faktyczne poglądy. Jednak nie zmienia to faktu, że nadzieje o wciągnięciu Włoch do obozu przeciwników były od początku nie realistyczne. Nawet jeśli zapewnienia o znakomitych relacjach Nawrockiego z premierem Giorgiā Meloni zawierają jakieś ziarno prawdy, nie miałyby to wpływu na jej decyzję. Włochy zagłosowałyby przeciw tylko wtedy, gdyby zastopowanie umowy z Mercosurem było dla nich korzystne. Zresztą można domniemywać, że także weto Paryża było gestem na użytek wewnętrzny. Gdyby prezydent Emmanuel Macron dostrzegł możliwość zablokowania porozumienia, Francja najpewniej również wymiksowałaby się z obozu przeciwników. Wynika to z tego prostego faktu: umowa jest dla Unii ostatnią deską ratunku. Macron, wielki zwolennik europejskiej suwerenności strategicznej, doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Teoretycznie wejście w życie traktatu nie jest jeszcze przesądzone. Jak zwraca uwagę „Politico”, wstrzymanie porozumienia wciąż jest jeszcze możliwe na drodze sądowej. Sprawę do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) może wnieść Parlament Europejski, choć wątpliwe, by znalazła się większość potrzebna do uchwalenia odpowiedniego wniosku. Według „Politico” grupa przeciwników liczy ok. 140 europosłów – to wystarczająco, aby rozpocząć debatę na ten temat, ale za mało, aby przyjąć rezolucję. Ratyfikacja umowy przez PE wydaje się więc bardzo prawdopodobna. Wniosek do TSUE mogą też złożyć poszczególne państwa członkowskie. Minister rolnictwa Stefan Krajewski z PSL zapowiada, że będzie się domagać od rządu takiego ruchu. Argumentem miałyby być rzekoma niezgodność porozumienia i sposobu jego procedowania z traktatami. Trudno jednak stwierdzić, które punkty układu z Mercosurem naruszają prawo unijne. Zresztą sceptycy nie ukrywają, że chodzi im głównie o grę na czas. „Chcemy jak najbardziej opóźnić proces przyjęcia umowy z Mercosurem” – powiedziała „Politico” francuska europosłanka Ma-non Aubry z Grupy Lewica.

Dzięki umowie z Mercosurem Unia Europejska wreszcie pokaże, że potrafi się rozpychać na scenie globalnej, a nie tylko biernie patrzeć, jak inni idą jak po swoje

Komplementarni partnerzy

Komisja Europejska dążyła do jak najszybszego przeforsowania układu, gdy znalazła się pod naciskiem państw Mercosuru. Cztery kraje tworzące ten obszar gospodarczy ostatecznie porozumiały się w sprawie zasad handlu z Unią Europejską w 2024 r. i zaczęły już tracić cierpliwość. Pod koniec 2025 r. prezydent Brazylii Lula da Silva zagroził wręcz, że jeśli Europa nie podejmie decyzji jeszcze w tym samym roku, to jego kraj wycofa się z umowy. Trudno orientować się na mocarstwo, które jest niesterowne i niezdecydowane. Tym bardziej że Mercosur poszedł Europejczykom na liczne ustępstwa, godząc się na włączenie do porozumienia ograniczeń kwotowych dotyczących swoich czołowych produktów eksportowych. Finalny kształt umowy jest korzystniejszy dla UE, więc przedłużająca się debata wydaje się partnerom za oceanem kuriozalna.

Unia sprzedaje krajom Mercosuru przede wszystkim artykuły przemysłowe. Według danych Komisji Europejskiej 28 proc. eksportu z UE do Argentyny, Brazylii, Paragwaju i Urugwaju to maszyny i urządzenia. Za jedną czwartą unijnej sprzedaży odpowiadają natomiast chemikalia i farmaceutyki, a 12 proc. – auta i części samochodowe. W przeciwną stronę płyną głównie towary nieprzetworzone lub nisko przetworzone. Aż 42 proc. eksportu z Mercosuru do UE to towary rolne, a niespełna jedna trzecia surowce mineralne. Kolejne są produkty z papieru i celulozy (7 proc.).

Z perspektywy makroekonomicznej Mercosur jest więc niemal idealnym partnerem handlowym dla Europy. Co więcej, wymiana między Unią a czterema krajami Ameryki Południowej jest wyjątkowo zbilansowana. W 2024 r. Wspólnota sprzedała im towary warte 55,2 mld euro, a sprowadziła dobra za 56 mld euro. Wymiana mogłaby być znacznie większa, gdyby nie bariery stosowane dziś przez Mercosur w celu ochrony swojego rynku. Na przykład samochody objęte są cłami w wysokości 35 proc., a na części do nich – 14–18 proc. W przypadku maszyn i chemikaliów obowiązują około 20-procentowe taryfy, farmaceutyków – 14 proc., a odzież i obuwia – 35 proc. Takie bariery mogą przeskoczyć jedynie najwięksi gracze, których produkty konkurują nie ceną, ale jakością lub marką. Umowa zniesie cła na 91 proc. towarów eksportowanych obecnie z UE do Mercosuru.

W ten sposób otworzy się nowy rynek dla wielu słabszych kapitałowo i mniej rozpoznawalnych europejskich producentów, szczególnie z naszego regionu i południa kontynentu. Klasa średnia w Ameryce Południowej to doskonała grupa docelowa również dla przedsiębiorstw z Polski, która ma silną pozycję w każdej kategorii towarów dominujących w eksporcie z Unii. W 2024 r. maszyny, elektronika, AGD, urządzenia elektryczne i produkty motoryzacyjne odpowiadały łącznie za 36 proc. rodzimego eksportu. Kolejne 15 proc. polskiej sprzedaży zagranicznej przypada na artykuły plastikowe, meble, materiały budowlane, produkty metalowe i rafinowane paliwa. Wolny handel z Mercosurem może też pobudzić sprzedaż mniej znaczących kategorii naszego eksportu, takich jak farmaceutyki czy aparatura medyczna. Polska ma wielu producentów tanich leków generycznych, które mogą być alternatywą dla droższych medykamentów z państw wysoko rozwiniętych.

Bilans na dużym plusie

Umowa jest szczególnie ważna z punktu widzenia dostępu do metali ziem rzadkich (REE). Obecnie UE jest pod tym względem uzależniona od Chin. Na przykład w 2024 r. 92 proc. zakupionych przez Niemcy magnezu pochodziło właśnie z ChRL. Nic w tym dziwnego – Państwo Środka odpowiada za 70 proc. wydobycia metali ziem rzadkich oraz aż za 90 proc. ich przetwórstwa. Jest też liderem pod względem ich zasobów. Pekin zręcznie wykorzystał to do podniesienia swojej globalnej pozycji – nie tylko ekonomicznej, lecz także geopolitycznej. W 2025 r. w odpowiedzi na nałożenie nowych ceł przez administrację Donalda Trumpa chińskie władze wprowadziły kontrolę ekspor- ➤

tu niektórych REE, a także zagroziły ustanowieniem surowszych restrykcji – m.in. zakazu sprzedaży metali w celu produkcji broni. Dla ubogiej w zasoby, ale silnej przemysłowo Unii spełnienie tej groźby byłoby bardzo dotkliwie. Co ważne, państwa Mercosuru są bogate w metale ziem rzadkich, choć próżno ich szukać wśród największych wydobywców. Brazylia jest drugim na świecie posiadaczem rezerw REE (ma mniej więcej połowę tego, co posiadają Chiny). Argentyna ma zaś duże zasoby litu i boru. Załącznik 2-B do porozumienia z Mercosurem przewiduje preferencyjne warunki celne dla państw UE oraz pierwszeństwo w zakupie tych pierwiastków. Daje to UE szansę na ograniczenie swojej zależności od dostaw z Państwa Środka, a być może także na inwestycje w wydobycie REE w Ameryce Południowej. Gdyby tak się stało, Europa polepszyłaby pozycję strategiczną względem pozostałych mocarstw.

Oczywiście największe kontrowersje budzi wpływ wolnego handlu z Mercosurem na unijnych rolników. Państwa tej grupy są dużymi eksporterami surowców rolnych, w szczególności cukru trzcinowego, mięsa wołowego i drobiu. Europejscy producenci będą musieli się zmierzyć z silną i tańszą konkurencją zza oceanu.

To cena, którą Unia musi ponieść – żadna umowa nie jest korzystna w każdym punkcie. Gdyby państwa nie szły na kompromisy, to obszary wolnego handlu w ogóle by nie istniały – z unijnym wspólnym rynkiem na czele. A w tym przypadku korzyści, jakie możemy odnieść, wyraźnie przewyższają koszty. Rolnictwo jest dla UE najmniej istotnym działem gospodarki pod względem wkładu – odpowiada ono jedynie za 1,7 proc., mniej niż kultura i rekreacja (3,1 proc.). Najważniejszy dział to przemysł, którego udział w PKB sięga 19 proc. Na drugim miejscu znajdują się transport i logistyka (18,9 proc.), które są ściśle powiązane z wytwórstwem przemysłowym i handlem międzynarodowym. Dla Polski oba te działy są jeszcze ważniejsze – przemysł odpowiada za 23 proc. wartości dodanej w naszej gospodarce, a transport i logistyka 24 proc. W żadnym kraju UE wkład rolnictwa nie jest większy niż 5 proc. – u nas to 2,9 proc. Gdyby nie unijna polityka rolna, która zapewnia rolnikom ogromne dotacje, sektor ten prawdopodobnie byłby dużo mniejszy.

Kuksaniec dla Waszyngtonu i Pekinu

Producenci z Europy Południowej niewątpliwie zyskają na zniesieniu ceł na oliwę z oliwek i wino – to drugie jest obecnie objęte stawką w wysokości 35 proc. Przemysł spożywczy, który w Polsce jest bardzo rozwinięty i produkuje na eksport, skorzysta na likwidacji ceł na napoje i czekoladę – dziś wynoszą one odpowiednio 35 proc. i 20 proc. Zerowe stawki będą też stopniowo wchodzić w odniesieniu do serów i produktów mlecznych. Równocześnie umowa zawiera zabezpieczenia dotyczące tzw. towarów wrażliwych, zwłaszcza wołowiny, w produkcji której specjalizują się Argentyna i Brazylia. W przypadku tego mięsa cło zostanie obniżone do 7,5 proc. i to wyłącznie dla kontyngentu w wysokości 99 tys. t (to 1,5 proc. unijnej produkcji wołowiny i niespełna połowa obecnego importu do Unii z Mercosuru). Niskie kontyngenty bezcłowego handlu przewidziano też dla cukru trzcinowego i drobiu. W obu przypadkach mowa o zaledwie 180 tys. t (nieco ponad jedna setna produkcji obu tych towarów). Co więcej, do porozumienia włączono klauzulę bezpieczeństwa, która umożliwia Wspólnocie przywrócenie ceł lub całkowite zamknięcie rynku na wypadek spadku cen towarów wrażliwych o więcej niż 5 proc. (pierwotna propozycja Komisji zakładała jej wdrożenie w przypadku 10-procentowego spadku). Z podobnego rozwiązania będą mogły skorzystać państwa Ameryki Południowej.

Umowa nakłada na producentów z Mercosuru liczne zobowiązania – przede wszystkim ich produkty będą musiały spełniać europejskie standardy fitosanitarne i jakościowe. 344 produkty spożywcze będą chronione przed imitacją. Według wykazu Ministerstwa Rolnictwa na tej liście znajduje się 47 polskich artykułów, np. bryndza podhalańska, oscypki i kabanosy staropolskie. Zakaz wjazdu do UE będą miały towary wytworzone na nielegalnie wylesionych terenach.

Umowa handlowa z państwami Mercosuru jest nie tylko bardzo korzystna dla Unii, lecz także potrzebna. Trudno przecenić jej znaczenie w czasach rosnących napięć międzynarodowych i rozpędzającej się rywalizacji mocarstw. Porozumienie zapewni Europie dostęp do dużego i w miarę zamożnego rynku. W sytuacji, gdy USA przysmykają drzwi na towary z zagranicy, nakładając na inne kraje wysokie taryfy celne (w przypadku UE – 15 proc.), Wspólnota potrzebuje nowych partnerów gospodarczych i strategicznych, by zmniejszyć zależność od Chin i Stanów Zjednoczonych oraz przynajmniej częściowo zastąpić dostawy z odciętej Rosji. Bliższa współpraca z Ameryką Południową może też być okazją do ekspansji europejskich usług – w tym cyfrowych – które dziś przegrywają z agresywną konkurencją z USA. Porozumienie zakłada zniesienie ceł na usługi, więc ich eksport powinien solidnie wzrosnąć (obecnie jego wartość sięga ok. 30 mld euro rocznie).

Mercosur jest łakomym kąskiem zarówno dla coraz bardziej rozbudowanych się tam Chin, jak i Stanów Zjednoczonych, które traktują zachodnią półkulę prawie jak swoją własność. Zbliżenie z tymi czterema państwami będzie więc kuksańcem dla Waszyngtonu i Pekinu. Unia wreszcie pokaże, że potrafi się rozpychać na scenie globalnej, a nie tylko biernie patrzeć, jak inni idą jak po swoje. ©

Energetyczna obfitość jest najważniejsza

Optymalny miks energetyczny dla każdego kraju musi spełniać co najmniej trzy kluczowe kryteria: musi być przystępny cenowo, niezawodny i odporny

Z Terrence'em

Keeleyem

rozmawia Sebastian Stodolak

Po ESG obiecywano sobie zbyt wiele – tak pisze pan w „Sustainable...”. Co takiego nie-realistycznego jest w wymaganiu od firm, by zajmowały się czymś więcej niż wypracowywaniem zysku?

Tu nie chodzi o realizm, lecz o optymalizację. Od razu jasno powiem: wszyscy chcemy świata sprawiedliwego, nikt z nas nie chce niszczyć przyrody i Ziemi. W gruncie rzeczy popieram idee stojące za programem zrównoważonego rozwoju. Ale pisząc książkę z perspektywy jednego z dyrektorów funduszu BlackRock, uświadomiłem sobie, że cała struktura i paradygmat stojące za inwestowaniem ESG – czyli inwestowaniem w kwestie środowiskowe, społeczne i ład korporacyjny – nie dają lepszych rezultatów środowiskowych, społecznych i wyższych stóp zwrotu. Nie wystarczy wycofać kapitału z branż takich, jak wydobycie ropy, by oczyścić powietrze. Owszem, można się wyzbycić brudnych aktywów, aby stworzyć zielony portfel, ale to nie sprawi, że nasz świat będzie czysty. Zielony świat można stworzyć tylko poprzez realne i dobrze zaprojektowane inwestycje.

Chodzi o inwestycje w alternatywy? Czy o inwestycje w czystsze wykorzystanie tej brudnej energii?

O to i o to. Przekonywano nas, że jeśli nie wydamy miliardów na transformację energetyczną – na porzucenie paliw kopalnych i skoncentrowanie się wyłącznie na źródłach bezemisyjnych: czy to jądrowych, czy w dużej mierze odnawialnych, takich jak energia wiatrowa i słoneczna – to kondycja świata ulegnie silnemu pogorszeniu. Tymczasem to założenie jest już sfalsyfikowane. Okazuje się, że nie ma czegoś takiego jak

pełna transformacja energetyczna. Nie zużywamy dziś mniej ropy i gazu niż wcześniej. Przeciwnie – jeśli spojrzymy na prognozy Międzynarodowej Agencji Energii, zużycie ropy naftowej i gazu będzie rosło w kolejnych dekadach.

Jednak udział energii odnawialnej bardzo szybko rośnie w miksie energetycznym w krajach rozwiniętych. Może nadchodzi rewolucja?

I bardzo dobrze, że tak się dzieje, bo globalny popyt na energię elektryczną również rośnie. Problem polega na tym, że tempo wzrostu podaży energii odnawialnej nie przewyższa tempa wzrostu zapotrzebowania. Tam, gdzie korzysta się z większej różnorodności źródeł energii, jej ceny są niższe. Chiny masowo rozwijają odnawialne źródła energii, ale jednocześnie budują elektrownie węglowe i jądrowe. Pekin zasługuje na duże uznanie za to, że konsekwentnie dąży do obfitości energii. Ceny energii elektrycznej zarówno w USA, jak i w Chinach stanowią mniej niż jedną czwartą poziomu cen obowiązujących w większości krajów Europy. Obciążanie europejskich producentów i obywateli znacznie wyższymi cenami energii elektrycznej nie służy ani im samym, ani waszym gospodarcom. Co więcej, nie sprzyja to również realizacji celów zrównoważonego rozwoju.

W jakim kierunku zatem powinniśmy podążać, by osiągnąć zrównoważony rozwój?

Dziś wiemy już, że optymalny miks energetyczny dla każdego kraju musi spełniać co najmniej trzy kluczowe kryteria: musi być przystępny cenowo, niezawodny i odporny.

A niskoemisyjność?

Oczywiście, energia powinna być także możliwie jak najczystsza, jednak to właśnie niezawodność, przystępność cenowa i odporność muszą stanowić fundament każdej wysoko

WYWIAD

wydajnej gospodarki. To są trzy podstawowe kategorie, do których każde społeczeństwo powinno dążyć – i konfiguracja tych elementów będzie różna w zależności od kraju. Nie obwiniamy Indusów za ich wysokie zużycie węgla. To jest zasób, którym dysponują. Dzięki temu nie muszą polegać na zagranicznych dostawcach w takim stopniu, w jakim Europa była zmuszona polegać chociażby na imporcie gazu ziemnego z zewnętrznych źródeł. Pamięta pan awarię zasilania, do której doszło w Europie latem 2025 r.?

Blackout w Hiszpanii. I w Portugalii. W efekcie zginęło osiem osób. Doszło do gwałtownego zdarzenia, które w istocie wynikało z funkcjonowania sieci opartej w nadmiernym stopniu na odnawialnych źródłach energii. Jest w tym pewna ironia, jeśli chodzi o energię słoneczną. Gdy nie ma słońca – system nie produkuje energii. Ale gdy słońce się pojawia, często w sposób nieprzewidywalny, powoduje to ogromną zmienność w systemie. I właśnie ta zmienność uruchomiła kaskadę problemów.

Czy obecne formy polityki klimatycznych – z państwem ustalającym co, kto, w jakiej ilości i po jakiej cenie może produkować oraz sprzedawać – nie przypominają centralnego planowania? Może to stąd biorą się te niezrównoważone modele energetyczne jak hiszpański?

Bądźmy ostrożni w posługiwaniu się pojęciem centralnego planowania. Każdy naród musi myśleć np. o swojej obronności, a przecież to również jest forma centralnego planowania. Lepiej mówić o zdrowym rozsądku. Nie ma zasadniczej różnicy między bezpieczeństwem militarnym, gospodarczym a energetycznym. W każdym z tych obszarów trzeba myśleć kategoriami bezpieczeństwa, a dokładniej kategoriami niezawodności. To, co wydarzyło się na kontynencie europejskim po całkowicie nieuzasadnionej inwazji Putina na Ukrainę, dobitnie pokazało, że zbyt wiele krajów Europy było nadmiernie uzależnionych od Rosji. Od tego momentu Europa mierzy się z ogromnym problemem: jak zastąpić partnera, którego uznawano za wiarygodnego, a który takim się nie okazał. Niestety, dostosowanie europejskiej energetyki do tej nowej sytuacji ujawniło niespójności w procesach planowania narodowego. Byliśmy świadkami, jak Niemcy wyłączały elektrownie węglowe i jądrowe w tym samym momencie, w którym próbowały uniezależnić się od rosyjskich dostaw.

Bardzo pragmatycznie patrzy pan na kwestie energii. Czy taka pragmatyka, skupiająca się na aktualnym dobrostanie ludzi, nie sprawi jednak, że walka ze zmianami klimatu będzie mniej skuteczna?

Cóż, w Europie powszechnie przyjęto założenie, że cele klima-

tyczne mają charakter egzystencjalny. Że jeśli ich nie osiągniemy, ludzkość poniesie ogromne koszty: ekonomiczne, środowiskowe i społeczne, których nie da się udźwignąć. A zatem, że miliardy inwestycji w odnawialne źródła energii są konieczne. W rzeczywistości nie istnieją dane, które uzasadniałyby prognozy o charakterze katastroficznym. Swoją drogą, właśnie zakończyliśmy w Stanach Zjednoczonych rok rekordowych zbiorów. Ani jeden huragan nie uderzył w kontynent. Ani jeden. Wszystkie te fakty stoją w sprzeczności z narracją o nieuchronnej katastrofie klimatycznej, którą tak wielu ludzi powtarza bezrefleksyjnie. I proszę mi powiedzieć, czy o tym informowano? Czy pojawił się artykuł na pierwszej stronie „The New York Times”, mówiący: „Katastrofa klimatyczna została wyolbrzymiona, a my mamy rekordowe zbiory”? Oczywiście, że nie. Wszyscy chcemy czystego powietrza. Wszyscy chcemy czystej wody. Wszyscy popieramy umiarkowane użytkowanie gruntów i zrównoważony rozwój. Wszyscy powinniśmy być bardzo uważni na szkody wynikające z nadmiernej konsumpcji. Ale jednocześnie powinniśmy zachować znacznie większą pokorę wobec rzeczywistych rezultatów naszych działań.

Mówi pan, że energia to kwestia bezpieczeństwa. Rządy tak traktują tę branżę – i właśnie dlatego chcą wytyczać kierunki jej rozwoju.

Rządy nie są szczególnie dobre w przewidywaniu długoterminowych rezultatów swoich działań. Rynek również nie zawsze ma rację, ale istnieje jedna istotna różnica. Kiedy ludzie inwestują własny kapitał, są zazwyczaj znacznie bardziej racjonalni w ocenie realnych kompromisów między ryzykiem a zyskiem niż ci, którzy – używając sformułowania Margaret Thatcher – inwestują cudze pieniądze. Przypomnijmy sobie miliardy wydane we Francji na rozwój systemów komputerowych firmy Bull SAS. Inwestycje państwowe doprowadziły do jej upadku, ponieważ projekt nie reagował na realia rynkowe. Nie musiał, skoro państwo dawało pieniądze... Spójrzmy dziś

Elektrownia słoneczna Gemasolar w hiszpańskim Fuentes de Andalucía



FOT. MICHELE RINALDI/AMAZING AERIAL/FORUM

na katastrofę związaną z milionami niesprzedanych samochodów elektrycznych, które gniją na parkingach i w magazynach producentów także w Chinach i USA. Okazuje się, że rozwój tych pojazdów, który odbywał się przecież przy istotnym koszcie środowiskowym, nie spotkał się z wystarczającym zainteresowaniem konsumentów. Zrównoważony rozwój i stabilność w ogromnym stopniu zależą od rentowności. Jeśli nie reagujesz na realia rynku, nie istnieje rząd, który miałby nieskończone zasoby, by dotować przegrzujące technologie, firmy i pomysły.

Zwraca pan uwagę na to, że z jednej strony rządy nie były szczególnie skuteczne w wyznaczaniu kierunków działań. Z drugiej jednak sektor prywatny, zwłaszcza w obszarze środowiska, również popełniał błędy. I to jest oczywiste. Ale czy nie jest tak, że w takich sytuacjach to właśnie rolę rządu jest posprzątać?

Jest absolutnie jasne, że kapitalizm odnosi ogromne sukcesy w alokacji kapitału w sposób maksymalizujący zysk, co prowadzi do wzrostu. Równie jasne jest to, że niekontrolowany kapitalizm generuje co najmniej dwa poważne efekty zewnętrzne, które wymagają interwencji państwa. Są nimi nierówności dochodowe i degradacja środowiska. Bardzo niewiele firm prywatnych, jeśli nie zostaną obciążone mechanizmami takimi jak podatek węglowy, powstrzyma się przed współtworzeniem tego, co ekonomiści nazywają tragedią wspólnego pastwiska. Mogę wyrzucić odpady do oceanu i nikt się o tym nie dowie. Mogę zanieczyszczać powietrze i również może to pozostać bez reakcji. W pewnym momencie społeczeństwo musi zdecydować, czy akceptuje takie zachowania. Jeśli nie, najlepszym narzędziem korekty jest opodatkowanie i uczynienie z tej działalności kosztu. Wysokie podatki oznaczają mniej aktywności. Zerowe podatki od zanieczyszczeń oznaczają więcej zanieczyszczeń. Rozważne zaprojektowanie tych mechanizmów jest zadaniem dalekowzrocznego rządu. Jednak co do zasady odpowiedzią na problemy kapitalizmu jest – i to może brzmieć absurdalnie – więcej kapitalizmu.

Rzeczywiście brzmi dość pokrętnie...

Wyjaśnię. Weźmy nierówności dochodowe. W grudniu Michael i Susan Dellowie przelali 6,25 mld dol. na konta inwestycyjne najuboższych Amerykanów, umożliwiając im uczestnictwo w rynku kapitałowym. Dellowie to kapitaliści, którzy w kapitalistyczny sposób zarządzili swoją własnością dla dobra wspólnoty. A teraz dobrowolnie zdemokratyzowali własne bogactwo. Słowem, są wśród kapitalistów – i jest ich wiele – osoby, które chcą pomagać innym. Kluczowe jest, żeby te inicjatywy faktycznie realizowały deklarowane rezultaty. Jeśli ktoś chce przeznaczyć kapitał na wsparcie mieszkalic- ➤

stwa socjalnego, oczyszczenie oceanów z plastiku, ograniczenie emisji CO₂ czy równość szans, to powinien mieć możliwość sprawdzenia, czy dany fundusz rzeczywiście robi to, co obiecuje. To, co robisz ze swoim kapitałem, ma znaczenie. Nie istnieje krańcowa stawka podatkowa, która zaprowadzi cię do nieba. Oddanie pieniędzy rządowi nie zwalnia cię z odpowiedzialności moralnej. Musisz to zrobić sam: intencjonalnie dążyć do coraz lepszych rezultatów.

No i właśnie po to wymyślono ESG – żeby podnieść świadomość kapitalistów.

Mam na to dwie odpowiedzi. Jako inwestor, czyli jako ktoś, kto ocenia spółkę pod kątem tego, czy chciałbym ją posiadać, czy nie – tak, taka dodatkowa informacja płynąca z raportów ESG podoba mi się. Natomiast jeśli chodzi o optymalizowanie wyników społecznych i ekonomicznych, to podkreślam raz jeszcze, że wszyscy powinniśmy być głęboko sceptyczni wobec rzeczywistych możliwości paradygmatu ESG. Nawet Alex Edmans, profesor na London Business School, który był kiedyś gorliwym orędownikiem ESG, jest dzisiaj sceptyczny. Napisał bardzo ważny esej w „The Wall Street Journal” zatytułowany „The Progressive’s Case Against ESG”. W gruncie rzeczy puenta artykułu jest taka: trzy czynniki – środowiskowy, społeczny i ładu korporacyjnego – mogą być ważne, ale nie są to jedyne ważne obszary. Jeszcze ważniejsze bywa to, czy firma działa na rozwijającym się rynku, czy mądrze zarządza kapitałem, czy konsekwentnie analizuje dynamikę podaży i popytu, czy jest gotowa na adaptację przełomowych technologii. Innymi słowy, przedkładanie ESG ponad inne czynniki tworzące realną wartość zniekształca zdolność do wybierania najlepszych możliwości w relacji ryzyka do zysku. Dziś istnieje już wystarczająco dużo danych mówiących np., że różnorodność płciowa w zarządach nie przekłada się automatycznie na lepsze wyniki ekonomiczne i wyższe ceny akcji, a te, nawiasem mówiąc, wciąż są miarą, według której oceniamy rezultaty w sposób zrównoważony. Mógłbym podać więcej przykładów, w których sygnały ESG okazywały się niszczące, a nie budujące wartość. W Stanach Zjednoczonych bardzo znanym przypadkiem była kampania reklamowa piwa Bud Light. W trosce o inkluzywność firma Anheuser-Busch, właściciel najlepiej wówczas sprzedającego się piwa w Ameryce, postanowiła wprowadzić do reklamy osobę o „nietypowym” profilu, wychwalającą zalety produktu. Była to osoba transpłciowa. Założenie było takie, że dzięki dotarciu do grupy postrzeganej jako wykluczona firma rozszerzy dystrybucję. Po tej kampanii sprzedaż Bud Light spadła o niemal 30 proc. i nigdy się już nie podniosła.

Radziłby pan Europie porzucenie idei obowiązkowego raportowania ESG?

Powiem tak: nie jest rolą biznesu zmniejszanie ilości plastiku w oceanach czy korygowanie nierówności dochodowych. To nie jest ich podstawowa rola. Jeśli biznes i finanse mają w tym uczestniczyć, powinno się to dziać poprzez tworzenie lepszych firm, a ESG nie jest najlepszą ku temu drogą. Drogą do tego jest świadomość, że zysk nie bierze się z działań opartych na chciwości. Weźmy Walmart. Sieć ta oferuje pracownikom możliwość zdobycia dyplomu ukończenia szkoły średniej i pomaga im przygotować się do egzaminów wstępnych na studia. Ktoś mógłby powiedzieć, że to marnowanie pieniędzy. W rzeczywistości okazuje się coś przeciwnego: taka praktyka buduje lojalność i przyciąga do Walmartu talenty, które w przeciwnym razie mogłyby odejść. Finalnie przekłada się to na lepszą wydajność pracowników. Pamiętaj pan tekst Milтона Friedmana „Społeczna odpowiedzialność biznesu polega na zwiększaniu zysków”? Ja skłaniam się ku temu punktowi widzenia, ale dodam do tego moją katolicką wrażliwość: jednostki i rządy muszą reagować na nadużycia i koszty społeczne, które mogą wynikać z istotnych sygnałów płynących z rynku prywatnego.

Chciałbym poruszyć jeszcze jedną kwestię – niezwiązaną z polityką środowiskową i klimatyczną. Pracował pan przez 13 lat w BlackRock. Tymczasem w Polsce tak wielkie instytucje finansowe są otoczone czarną legendą. Funkcjonuje przekonanie, że te instytucje próbują nami rządzić.

Wydaje mi się, że ten stereotyp jest daleki od prawdy. Mam same pozytywne rzeczy do powiedzenia o Larrym Finku (założyciel i szef BlackRock – red.) i moich byłych kolegach. Stereotyp na temat dużych funduszy jest wyrazem głębokiej nieufności wobec systemu. W jej konsekwencji rodzą się rozmaite teorie spiskowe. Jako były członek najwyższego szczebla kadry kierowniczej BlackRock mogę powiedzieć, że każdego dnia budziliśmy się z poczuciem odpowiedzialności. Odpowiedzialności wobec klientów, wobec akcjonariuszy, wobec współpracowników, wobec całego społeczeństwa. Jaką rolę – jako najwyższy w świecie zarządzający aktywami – powinniśmy odgrywać, aby służyć wszystkim tym interesariuszom? To jest właśnie dobrze rozumiana idea kapitalizmu interesariuszy.

I BlackRock, i podobne korporacje nie mają absolutnie nic na sumieniu? Naprawdę?

Oczywiście, że mają na koncie wiele błędów. Jednym z nich było zredukowanie roli ich realnych właścicieli w procesie decyzyjnym. Fundusze i korporacje są w istocie własnością inwestorów – zarówno osób fizycznych, jak i instytucji. To akcjonariusze formalnie decydują o składzie rad dyrektorów i głosują nad kluczowymi uchwałami korpora-

cyjnymi. Od tego modelu w pewnym momencie zaczęto odchodzić. W praktyce część decyzji zaczęły podejmować wyspecjalizowane podmioty doradcze, takie jak firmy rekomendujące sposób głosowania. W przypadku największych firm zarządzających aktywami kwestie ładu korporacyjnego zostały w dużej mierze wchłonięte przez same instytucje zarządzające. W efekcie przez pewien czas, który jest już raczej przeszłością, część dużych instytucji wykorzystywała swoje prawo głosu w sposób, który niekoniecznie maksymalizował długoterminowy interes właścicieli aktywów, czyli ich klientów. Sedno zmiany polega na tym, że dziś w obszarze głosowań wprowadzono zasadę wyboru po stronie inwestora. Jeśli np. inwestor kieruje się określonymi przekonaniami moralnymi czy religijnymi, może zdecydować, aby jego akcje były głosowane zgodnie z tymi zasadami, a nie według narzuconej linii. To szczególnie ważne w Europie, gdzie świadomość tego, kto faktycznie głosuje w imieniu właścicieli kapitału, jest nadal niewielka. Warto pamiętać, że zdecydowana większość kapitału w dużych funduszach należy do przyszłych emerytów. To pieniądze ludzi, którzy będą ich potrzebować za 10, 20 czy 30 lat. Obowiązkiem zarządzających nie jest realizowanie celów politycznych czy społecznych, lecz działanie zgodnie z wolą klientów. Ich odpowiedzialność polega na tym, by robić z powierzonym kapitałem dokładnie to, czego życzy sobie jego właściciel.

Fink niedawno objął funkcję w radzie doradczej Światowego Forum Ekonomicznego w Davos. To zwiastuje zmianę w rekomendacjach tej instytucji?

Elity z Davos popełniły w ostatnich latach wiele błędów. Dwa z nich to utożsamienie Davos z kapitalizmem interesariuszy oraz przyjęcie niewłaściwego paradygmatu energetycznego. Elity z Davos bardzo mocno forsowały zastąpienie ropy i gazu większym udziałem OZE w ramach ratowania świata przed katastrofą. Larry jest dziś u steru i próbuje łączyć bardzo zróżnicowany zestaw idei tak, by Davos osiągnęło to, do czego od dawna aspirowało: do wypracowania cywilizacyjnej perspektywy, która umożliwi optymalny rozwój człowieka. Davos musi powrócić do tego, co lubię nazywać radykalnym środkiem. Myślę, że byłoby korzystne również uznanie duchowych potrzeb ludzkości – ale to temat na znacznie dłuższą dyskusję.

©P

Autor jest wiceprezesem Warsaw Enterprise Institute



Terrence Keeley

były członek kierownictwa funduszu BlackRock, autor książki „Sustainable: Moving Beyond ESG to Impact Investing”

Kraj

Mniej lamentów, więcej rozmowy

Polsce jest potrzebne silne centrum, które skutecznie zaapeluje do ludzi, którzy na co dzień nie żyją polityką. Taka była geneza sukcesu Trzeciej Drogi

Z Janem

Szyszką

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Co się stało z tymi wyborami w waszej partii? Nie mam precyzyjnej odpowiedzi, bo nie brałem udziału w ich przygotowaniu. W ostatnich dniach widziałem za to wiele filmików, skrینów i zdjęć.

Tylko proszę mnie nie przekonywać, że sprawą musi się zająć ABW.

W trakcie głosowania niektórzy ludzie z naszej partii, w tym niektórzy posłowie, upublicznili pełne adresy URL. Wysoce prawdopodobne jest zatem to, że podany na tacy link ułatwił przeciążenie serwerów internetu, którzy lubują się w hakowaniu albo zwykłym trollowaniu.

Z całym szacunkiem, ale dowolna ankieta w internecie ma lepsze zabezpieczenia. Zagłada pan czasem do social mediów? Polska 2050 stała się memem.

WYWIAD

Na dziś mogę powiedzieć tylko tyle, że partia korzystała z systemów tego operatora przy ponad 100 innych głosowaniach: na poziomie krajowym, wojewódzkim, powiatowym. I nigdy nie było żadnego problemu. Aż do dziś.

Na nieszczęsne wybory nakładają się jeszcze wewnętrzna awantura, oskarżenia o zdradę, odejścia z grup na Sygnalu...

Dużo zależy od tego, w którym kierunku pójdzie w piątek Rada Krajowa naszej partii, która zdecyduje o następnych krokach.

Zapytam zatem inaczej: po co nam dziś Polska 2050?

W Polsce jest potrzebna partia w centrum, która powoduje, że to umiarkowana strona wygrywa wybory. Jeżeli takiej partii nie ma, to wygrywają skrajności. To lekcja m.in. z 2019 r. Proszę zauważyć: odkład spadliśmy w sondażach poniżej progę wyborczego, w każdym badaniu większość ma Prawo i Sprawiedliwość w koalicji z Konfederacją. Nic w tej sprawie nie zmienia nawet to, że Koalicja Obywatelska ma najwyższe poparcie. Polsce potrzebne jest silne centrum, które skutecznie zaapeluje do ludzi nieżyjących na co dzień polityką. Taka była geneza sukcesu Trzeciej Drogi.

Zostawmy partię. Jest pan głównym negocjatorem ds. rewizji Krajowego Planu Odbudowy. Gdzie obecnie jesteście, jeśli chodzi o kamień milowy dotyczący Państwowej Inspekcji Pracy?

Jesteśmy w trakcie rozmów z Komisją Europejską o tym, jak wypełnić ten kamień milowy A7IG – tak dokładnie brzmi to w języku urzędników. Po ostatnich rozmowach liderów politycznych, a także na forum Rady Ministrów będziemy potwierdzali nasze zobowiązanie do tego, że wykonamy ten kamień milowy.

Urzednicy z Brukseli nie dopytywali, o co chodzi, gdy premier Donald Tusk publicznie powiedział, że sprawa jest zamknięta, a projekt leci do kosza?

Zostali przeze mnie poinformowani o tym, że naszą intencją są zmiany interpretacyjne odnoszące się do projektu ustawy, ale niewpływające na kamień KPO. Wcześniej Komisja przekazała nam, że ewentualna ponowna negocjacja tego kamienia byłaby prawie niemożliwa. Po pierwsze – ze względu na kalendarz i goniące nas terminy, po drugie – przecież już raz to negocjowaliśmy.

Od pół roku pracujecie nad ustawą o PIP, a na ostatniej prostej premier wysłał sygnał, że to w zasadzie para w gwizdek. W sumie to ponad rok, bo mandat negocjacyjny Rady Ministrów, w którym znalazła się ta sprawa, jest jeszcze z przełomu lat 2024 i 2025. Szczegółowe negocjacje trwały przez pierwszy kwartał 2025 r. Wszystko przeszło przez ścieżkę przygotowawczą, ale na ostatniej prostej pojawiły się wątpliwości interpretacyjne.

Wie pan, jakie krążą plotki o tym, kto i jak podrzucił szefowi rządu te wątpliwości interpretacyjne?

Trudno mi to komentować, o żadnych specjalnych spotkaniach w tej sprawie nie słyszałem. Mogę powiedzieć tylko tyle, że bardzo dobrze stało się, iż te wątpliwości pojawiły się jeszcze przed przyjęciem projektu przez rząd.

Ile pieniędzy z KPO wisi na tym kamieniu milowym?

Na stole jest kilkanaście miliardów złotych – niektórzy podają wyliczenia, że to dokładnie 11 mld, inni mówią, że może nawet więcej. Ile by to ostatecznie nie było, w interesie budżetu Polski jest przeprowadzenie dobrej reformy i uniknięcie ewentualnych kar ze strony Komisji Europejskiej. Zostawiając kontekst finansowy, w mojej ocenie jest to po prostu dobra reforma, zwiększająca stabilność zatrudnienia – zwłaszcza osób młodych, co jest kluczowe z powodu problemów demograficznych. Te ostatnie można rozwiązać tylko systemowymi rozwiązaniami: zwiększeniem dostępności mieszkań, stabilnością na rynku pracy, pewnością zatrudnienia. Ostatnie lata pokazały, że 500+ czy 800+ przyniosły sporo dobrego, ale akurat na poziomie demografii nie zadziałały.

Rządowi liberałowie gospodarczy boją się tej reformy. Słyszał pan triumfujących polityków Polskiego Stronnictwa Ludowego, przez kilka lat waszych partnerów w Trzeciej Drodze? Zwiększenie uprawnień inspektorów PIP miałyby być batem na przedsiębiorców, dokręceniem im śruby w niełatwych czasach.

W rządzie są różne wrażliwości. Zgadza się, że o polskich przedsiębiorców i przedsiębiorstwa trzeba dbać, ale można to robić poprzez wprowadzanie sprawiedliwych warunków gry na rynku pracy. Na przykład rozważając różnego typu opłaty, które mogłyby uderzać w sektory i firmy – najczęściej są z zagranicy – które nie płacą w Polsce podatków. Chciałbym, żeby ustawa o PIP była tak odebrana.

Co realnie mogłoby się zmienić, gdyby ta ustawa weszła w życie? Nie chciałbym oceniać konkretnych ustaw, odpowiem więc o tym, co zmiany realizacja kamienia KPO. Sądy pracy mogą zostać odciążone, a kontrole PIP przestaną być tak chaotyczne, związane z nachodzeniem często uczciwych przedsiębiorców. Pracownicy zyskają większą ochronę w miejscach, w których notorycznie, nagminnie i seryjnie jest łamane prawo pracy. Przedsiębiorcy zyskają sojusznika w walce z nieuczciwą konkurencją w swoich sektorach. Chcemy też zapewnić zmiany i doprecyzować interpretacje tego, co jest na stole od kilku miesięcy. Jeśli decyzja administracyjna inspektora PIP, która przechodzi przez wiele instancji, trafia w końcu do sądu, to powinna być ona zawieszana na czas postępowania.

Czyli martwy straszak, bo zanim sąd rozstrzygnie sprawę, minie dużo czasu.

Nie, to przecież ta sama logika, która obowiązuje i działa w procesach

skarbowych. Ktoś, kto zaskarża decyzję PIP do sądu, to też ryzykuje wyższe sankcje, które może nałożyć sąd. Dlatego nad nową wersją pracuje nie tylko resort rodziny, pracy i polityki społecznej, lecz także Ministerstwo Sprawiedliwości. Zostańmy chwilę przy szczegółach tego kamienia milowego: ma on dwa poziomy, które powinniśmy zauważyć. O jednym wszyscy mówią: to kompetencje pracowników PIP do przekształcania umów na ścieżce administracyjnej. Do umowy z KE nie ma wpisanego wymogu, by decyzja zapadała i była egzekwowana wyłącznie przez jednego urzędnika PIP. Może to być wiele instancji. Nie ma też w kamieniu milowym niczego o mikroprzedsiębiorcach czy umowach B2B, bo to nie jest obszar, w który reforma ma trafić. Wreszcie – absolutnie nie ma w kamieniu milowym wzmianki o tym, żeby decyzja o zmianie stosunku zatrudnienia obowiązywała wstecz. A takie pomysły też w pewnym momencie leżały na stole.

Czyli w zasadzie możemy żonglować tym zwiększeniem kompetencji. A ten drugi poziom? Druga część to reforma administracyjna PIP.

Matko, jak to brzmi. Brzmi nudziarsko, ale to równie ważny poziom realizacji tej reformy co ten pierwszy. Nie ma co kryć: inspekcja jest słaba i nieefektywna, a sądy pracy są przeciążone. Na przeciążenie sądów odpowiedzią ma być wspomniana ścieżka administracyjna, która w większości krajów Unii Europejskiej funkcjonuje. Rozwiązaniem dla samej PIP ma być jej cyfryzacja, czyli zwiększenie budżetu inspekcji – nie na cokolwiek, tylko na systemy IT, które pozwolą korzystać z big data w codziennej pracy. Do tego trzeba dodać bliską współpracę z Krajową Administracją Skarbową, by szybko wymieniać się danymi.

Po co? Żeby kontrole w przedsiębiorstwach były celowe. To rozwiałoby obawy, które zgłaszają dziś przedsiębiorcy: że oto pojawia się kontroler z PIP i zwraca im głowę, bo sam nie wie do końca, czego szuka i dlaczego akurat w tej, a nie innej firmie. Dobra i skuteczna wymiana danych pozwoliłaby przeskoczyć ten etap i skupić się tylko na tych, którzy potencjalnie mogą łamać prawo. Planowana cyfryzacja jest oparta na modelu, który przeszedł już ZUS. Tam mamy dziś system, na który w zasadzie nikt nie narzeka. W ZUS zajmuje się tym kilkudziesięć osób.

Kilka miesięcy temu cała Polska żyła inwestycjami z KPO na branżę HoReCa, która wydawała

W rządzie są różne wrażliwości. O polskich przedsiębiorców trzeba dbać, ale można to robić poprzez wprowadzanie sprawiedliwych warunków gry na rynku pracy

pieniądze na jachty i sauny. Nawet pan mówił o cwaniactwie. Macie za sobą audyt. Jak duża była skala tego cwaniactwa?

Skala nie była duża: chodziło o kilkanaście, może kilkadziesiąt projektów. Z wszystkich tych pomysłów pieniądze zostały zwrócone albo nie zostały wypłacone. Ktoś powie: to niemało. To odsetek mniejszy od średniej możliwych nieprawidłowości przy wydatkowaniu pieniędzy na granty. I nie mówię tu tylko o polskiej średniej, lecz o europejskiej. I powtarzam: wszystko zostało uregulowane, wyjaśnione. Ale pozytywne informacje nie są dziś tak chwytliwe jak awantury i problemy. Kiedy pieniądze z KPO nie były wypłacane, wszyscy o tym mówili. Mało kto prześwietla i pokazuje, jak dobre efekty przynoszą te pieniądze w setkach inwestycji w całym kraju. Podobnie było z tym audytem: o problemach dudniło się na dachach, o ich wyjaśnieniu i uporządkowaniu – cisza. Ale nie narzekam, taka praca urzędnika. (śmiech)

Łatwo się rozmawia z Komisją Europejską? Politycy PiS wynegocjowali KPO, premier Morawiecki wydrukował nawet billboard o nowym planie Marshalla. Ale wszystko utknęło. Polityka? Oczywiście, że Komisja Europejska jest bytem politycznym i ma priorytety polityczne – jak realizacja KPO w 27 krajach UE. Faktem jest, że rozmawia się z nimi trudno, bardzo trudno. To nie są sympatyczne negocjacje. To nierządno napięte rozmowy, a nie luźne pogaduchy przy kawie, na co i jak wydać pieniądze. Jeżeli jednak rozmawia się merytorycznie i logicznie, to da się ich przekonać do swoich racji, choć zapewne nie do wszystkich. PIP to jeden przykład: początkowo nie chcieli się na to zgodzić, po rozmowach się zgodzili. Wynegocjowaliśmy wyrzucenie podatku od posiadania samochodów spalinywych. Wprowadziliśmy fundusz bezpieczeństwa z KPO. Na początku też słyszeliśmy, że się nie da, bo nikt tego do tej pory nie robił. Zrobiliśmy. Mniej lamentów, więcej rozmowy. Może nie sprzedaje się to tak w obrazku dla mediów, ale przynosi więcej skuteczności i satysfakcji. ©©



Jan

Szyszko

sekretarz stanu w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej. W kampanii parlamentarnej z 2023 r. członek sztabu Polski 2050 i Trzeciej Drogi

Historia

Puste krzesła de Gaulle'a

Przekształcenie EWG w federalne państwo stało się w 1965 r. strategicznym celem Komisji Europejskiej. Ale Francja pokrzyżowała te plany

Andrzej

Krajewski

Serdeczne relacje Paryża z Berlinem odchodzą do przeszłości. Francuzi źle znoszą, że w Unii Europejskiej ostatnie słowo od dłuższego czasu należy do Niemiec. Największe państwo Wspólnoty, pomimo problemów ekonomicznych, zachowuje zdolności do marginalizowania krajów podważających strategiczne cele RFN. Tak jak to się stało w przypadku umowy z Mercosurem: Paryż nie zdołał zebrać mniejszości blokującej i Berlin postawił na swoim. Ale każda taka sytuacja grozi tym, że cierpliwość Francuzów się wyczerpie. Podobnie jak 60 lat temu podczas kryzysu pustych krzeseł. Wówczas prezydent Charles de Gaulle postawił ultimatum: albo Wspólnota będzie taka, jakiej pragnie on, albo nie będzie jej wcale.

Komisja Hallsteina

„(...) Przejmijcie przywództwo ze wszystkimi jego ryzykami. Nawet ryzykiem walki z państwami członkowskimi” – mówił w czerwcu 1965 r. szef Komisji Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej Walter Hallstein. Jak opisuje Philip Bajon w opracowaniu „The European Commissioners and the Empty Chair Crisis of 1965-66”, stenogramy z posiedzeń Komisji EWG ukazują wielką determinację Niemca, prącego do reformy Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. „Jeśli przegapimy tę okazję, wszystko się opóźni!” – ostrzegł Hallstein.

30 czerwca 1965 r. kończył się okres przejściowy ujęty w traktatach rzymskich. Siedem lat wcześniej sygnujące je rządy powołały do życia EWG oraz

Europejską Wspólnotę Energii Atomowej. Nadal też funkcjonowała Europejska Wspólnota Węgla i Stali. Największe znaczenie wkrótce zyskała Europejska Wspólnota Gospodarcza. Znosiła bowiem bariery celne między państwami członkowskimi oraz zacieśniała polityki, m.in. handlową i rolną. Powołano również instytucje koordynujące, m.in. Radę Ministrów, Komisję i Zgromadzenie Parlamentarne, do którego deputowanych delegowały parlamenty krajowe. Po okresie przejściowym, podczas posiedzeń Rady Ministrów EWG, w której zasiadali ministrowie rządów Francji, RFN, Włoch, Belgii, Holandii i Luksemburga (w zależności od tematyki urzędnicy się zmieniali), wszelkie decyzje miały być podejmowane większością kwalifikowaną. Jednomyślność odchodziła do lamusa. Dlatego Rada Ministrów zleciła Komisji przygotowanie do 1 kwietnia 1965 r. propozycji usprawnienia funkcjonowania EWG.

Pod kierownictwem Hallsteina powstał plan radykalnych reform. Pomysłano je tak, by zainicjowały szybką integrację, prowadzącą w stronę federalnego państwa. Plan Hallsteina zakładał, iż Wspólnota będzie posiadała budżet zasilany autonomicznymi dochodami; pozyskiwać je zamierzano z cel chroniących rynek EWG, dodatkowych opłat od importowanych produktów rolnych i udziału w części wpływów z podatków w krajach członkowskich. Na komisarza ds. rolnictwa, Włocha Sicca Mansholta, spadło zadanie uzasadnienia proponowanych zmian. Zatem poinformował rządy, że wspólna polityka rolna generuje rosnące koszty. Osobny budżet, kontrolowany przez Komisję Europejską, ułatwiłby jej utrzymywanie. A co więcej, kosztów nie ponosiłyby budżety krajowe. Hallstein oraz Mansholt założyli, że



sকoro francuscy rolnicy są największymi beneficjentami wspólnotowych funduszy, to Paryż da się nabrać na ten wybieg. Poza tym Komisja pragnęła znacznie zwiększyć rolę Zgromadzenia Parlamentarnego. Acz Hallstein chciał ten punkt zachować w tajemnicy.

Federaliści w natarciu

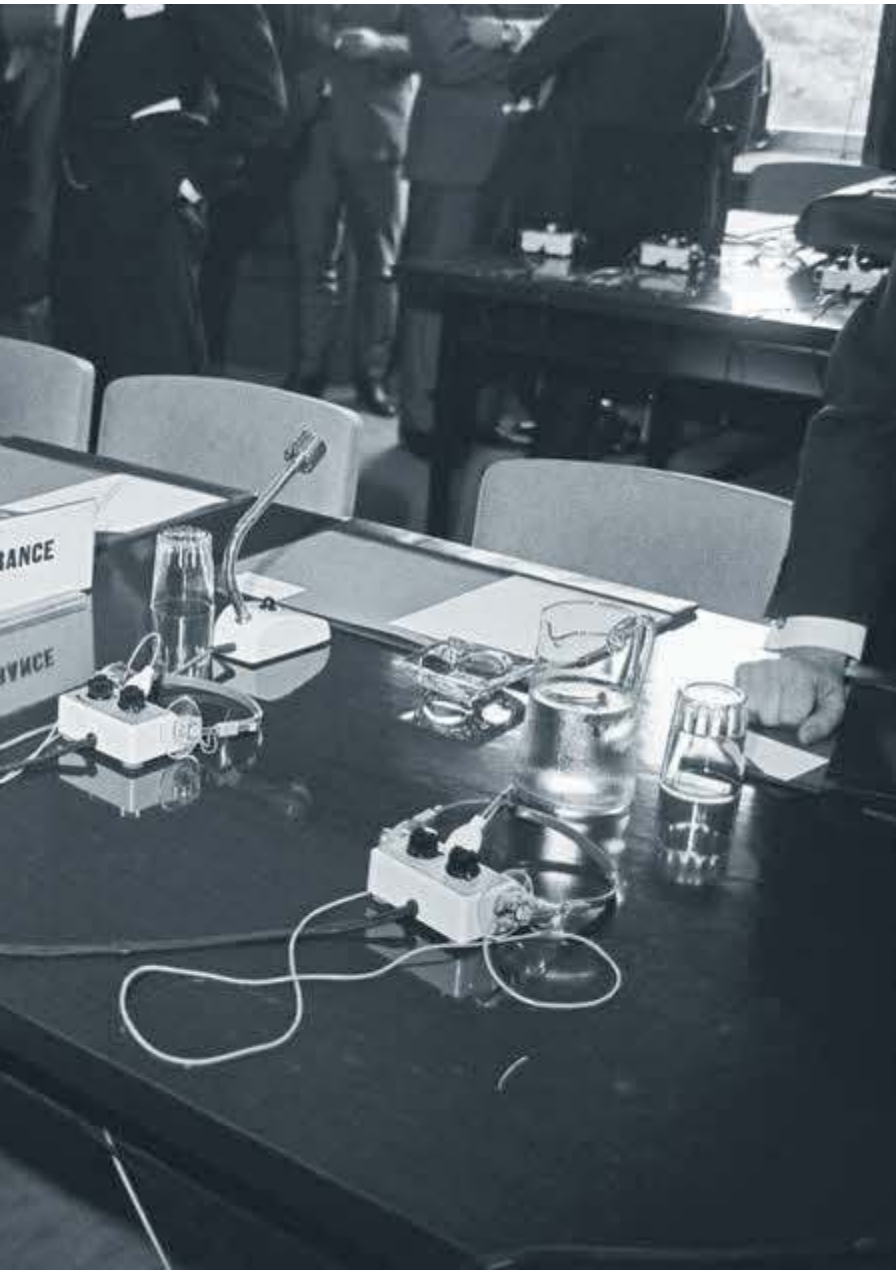
„Zasugerował zatem swoim kolegom, aby zagrali w negocjacje i zachowali kwestię PE (Parlamentu Europejskiego – red.) jako atut Komisji” – opisuje Bajon. Propozycją powstania wspólnotowego parlamentu zamierzano zaszachować sprzeciw Francji. Ostrzegł przed nim Robert Marjolin. Francuski wiceprzewodniczący Komisji, choć sam pragnął integrowania się Europy, był przekonany, że prezydent de Gaulle nie zaakceptuje pomysłów Hallsteina. Francuz postulował więc wdrożenie reformy za kilka lat. „Oczywiście było to sprzeczne z wolą Hallsteina” – dodaje Bajon.

W ocenie Niemca moment był najlepszy. Pakiet reform winien zainicjować w Radzie Ministrów EWG „maraton negocjacyjny”. A na koniec decyzja zapadłaby większością głosów. Socjalistyczny rząd Włoch premiera Alda Mora chciał integracji. Popierał ją też kanclerz Ludwig Erhard, widząc w niej szansę na podtrzymanie szybkiego roz-

woju RFN. Rządy Belgii oraz Holandii dostrzegły zaś okazję na zwiększenie we Wspólnocie roli krajów Beneluksu. Wszystko wskazywało, iż na koniec Paryż zostanie przyparty do muru i przegłosowany.

Marjolin uległ więc wizji Hallsteina – i ten ogłosił projekt reform, acz nie podczas posiedzenia Rady Ministrów EWG, lecz tydzień wcześniej, 24 marca 1965 r., na forum Zgromadzenia Parlamentarnego. Tak starał się pozyskać sojuszników, jeszcze przed rozpoczęciem rozgrywki z Francją.

Ta zaś musiała się określić nie podczas debaty w zamkniętym gronie przedstawicieli rządów, lecz publicznie. W tym miejscu Hallstein wykroował sobie jeszcze jeden atut. Wprowadzie prezydent de Gaulle rządził V Republiką, ale na początek grudnia 1965 r. zaplanowano wybory prezydenckie. A wśród Francuzów znaczną popularnością cieszył się ruch Conseil Français pour l'Europe Unie (Francuska Rada Zjednoczonej Europy), będący częścią European Movement International (Międzynarodowego Ruchu Europejskiego) powołanego do życia w październiku 1948 r. w Brukseli. Organizacja ta, otrzymująca przez lata duże wsparcie USA, zrzeszała stowarzyszenia domagające się przekształcenia luźnego związku krajów europejskich w jedno państwo. Jej francuska sekcja zdobyła sobie olbrzymie wpływy na początku lat 50. „W okresie IV Republiki dla wie-



FOT. KAREL VAN MILLEGHEM/EUROPEAN COMMUNITIES/KE/UE

Kryzys pustych krzeseł.
Szczyt w Brukseli,
26-27 lipca 1965 r.

lu osób publicznych uczestniczenie w spotkaniach, konferencjach i zgromadzeniach organizowanych przez federalistów w celu uzyskania politycznego i wyborczego poparcia ze strony tych grup nacisku było niemalże obowiązkiem” – twierdzi w opracowaniu „De Gaulle, the «Empty Chair Crisis» and the European Movement” Paolo Caraffini.

Jednak dojście do władzy generała de Gaulle’a nadszarpięło pozycję Conseil Français pour l’Europe Unie. „(...) Organizacje federalistyczne utraciły swoje wpływy, gdyż nie dysponowały ani zasobami ludzkimi, ani środkami materialnymi, by przeciwstawić się gaullistowskiej propagandzie” – twierdzi Caraffini. Plan Hallsteina okazał się dla nich zatem wyczekiwany od lat wiatrem w żagle i liderzy francuskich federalistów Maurice Faure oraz René Mayer pragnęli go wykorzystywać.

Wściekłość de Gaulle’a

Charles de Gaulle na scenę polityczną powrócił w 1958 r., obiecując uzdrowienie Republiki. Udało mu się zapobiec grożącej jej wojnie domowej oraz zatrzeć ślady klęsk poniesionych w Wietnamie i Algierii. Kolejnym obiecanym krokiem było przywrócenie odnowionej V Republice mocarstwowej pozycji. Nową konstytucją de Gaulle zagwarantował sobie olbrzymią władzę, ale

rozumiał, iż to za mało. Francuska gospodarka potrzebowała modernizacji i europejskiego wspólnego rynku, by móc się rozwijać. Poza tym jedynie kontrola nad EWG dawała szansę Paryżowi, by powalczyć o pozycję lidera w świecie Zachodu ze Stanami Zjednoczonymi.

Dlatego de Gaulle, choć był przeciwny federalizacji, nie odrzucił traktatów rzymskich i po wejściu ich w życie wymyślił autorski projekt „wspólnej Europy”. Główną instytucją zarządzającą EWG miała stać się regularnie obradująca Rada, w której zasiadali by szefowie państw lub ministrowie spraw zagranicznych. Decyzje podejmowałyby jednomyślnie, a wykonywałyby je Komisja Polityczna ulokowana w Paryżu. Zgromadzenie Parlamentarne zostałyby przekształcone w Parlament Europejski. Przy czym miałby on prawo jedynie opiniowania decyzji Rady.

De Gaulle zakładał, iż uda mu się ją zdominować. Włochami rządziły słabe i często upadające koalicje. Z kolei kanclerz Adenauer, z racji pamięci o II wojnie światowej i jej konsekwencjach, godził się z prymatem politycz-

nym Paryża. Ale kraje wspólnoty odrzuciły w 1961 r. ten plan. Obawa przed dominacją Francji sprawiła, iż nie przyjęto go nawet w złagodzonej wersji.

Kiedy europejska integracja pod egidą Paryża okazała się niemożliwa, wówczas de Gaulle zdecydował się na dwie wolty. Z żegnającym się z polityką Adenauerem wynegocjował traktat elizejski. Zacieśniał on relacje Francji z RFN, określając, iż to oba te kraje będą współdecydować o polityce europejskich Wspólnot. Jednocześnie stał się gorącym orędownikiem „Europy ojczyzn”. Suwerenne państwa narodowe połączone wspólnym rynkiem stały się dla niego rozwiązaniem idealnym.

Gdyby plan Hallsteina został wcielony w życie, to Komisja Europejska zyskałaby olbrzymią niezależność z racji posiadania swojego budżetu. Jednocześnie na Radzie EWG zniknęła jednorodność i Francja mogła zostać za każdym razem przegłosowana. We wspólnocie całe obszary decyzyjne znalazłyby się poza kontrolą rządów narodowych, a zatem też i francuskiego. Oznaczałoby to pożegnanie z „Europą ojczyzn” i obranie kursu na federację. Dla de Gaulle’a te propozycje były nie do przyjęcia i nie zamierzał też grać wedle reguł narzucanych przez Hallsteina. „Na sesji Rady Ministrów (EWG – red.) pod koniec czerwca 1965 r. francuski minister spraw zagranicznych, pełniący obowiązki przewodniczącego Rady Ministrów, nie zezwolił na sesję maratońską” – pisze Bajon. „A kilka dni później rząd francuski wycofał stałego przedstawiciela (przy Wspólnotach Europejskich w Brukseli – red.)” – uzupełnia.

Generał czekał już tylko na zaplanowane na 1 lipca posiedzenie Rady Ministrów EWG, by w noc je poprzedzającą przekazać, iż francuska delegacja nie przybędzie. Ministrowie z innych krajów zastali w Brukseli na sali obrad puste krzesła. De Gaulle nie wycofywał Francji z EWG, ale skutecznie zablokował działalność Rady. Odmówił też jakichkolwiek rozmów z Komisją Europejską.

Puste krzesła

Zaraz po wybuchu kryzysu de Gaulle przystąpił do ataku na Komisję Europejską oraz reprezentującego w niej Francję socjalistę Roberta Marjolina, podkreślając „pychę brukselskich biurokratów”. Jednocześnie odrzucał apele pozostałych rządów EWG, by wrócić do stołu negocjacyjnego. Z Komisją Europejską francuski rząd zerwał wszelkie kontakty. De Gaulle ponawiał jedno żądanie: chciał odrzucenia planu Hallsteina. W odpowiedzi federaliści w całej EWG rozpętały kampanię przeciwko niemu, oskarżając go o próbę zniszczenia Wspólnoty.

Na 19 lipca 1965 r. zwołano w Brukseli wielki marsz federalistów, na którego czele szli Maurice Faure i René Mayer. Wspólnie z socjalistami postanowili wypromować we Francji kandydata, który pokonałby w wyborach prezydenckich de Gaulle’a i podpisał się pod planem Hallsteina. Został nim byłby minister sprawiedliwości, socjalista i zarazem zaangażowany uczestnik ruchu francuskich federalistów François Mitterrand. To w nim upatrywano na-

dziei na przełamanie kryzysu pustych krzeseł.

Dlatego też Hallstein i stojący za nim murem członkowie Komisji początkowo zajęli twarde stanowisko. Ale nie mieli żadnych instrumentów nacisku na Paryż oraz inne rządy Wspólnoty. Te zaś stopniowo uległy szantażowi de Gaulle’a i godziły się na dogadywanie konkretnych spraw z pominięciem Komisji Europejskiej. Poza tym zaczęły wpływać epizody z życia Hallsteina, o których wcześniej ani Niemcy, ani Francuzi nie chcieli pamiętać.

Ów wybitny prawnik w III Rzeszy był członkiem Narodowosocjalistycznego Związku Prawników i Narodowosocjalistycznej Ligi Wykładowców. Od 1942 r. służył w Wehrmachcie w stopniu oficerskim i po lądowaniu aliantów w Normandii dostał się do amerykańskiej niewoli. Pobyt za Atlantykiem odmienił jego życie. Zajmujący się jeńcami w Camp Como (Missisipi) oficerowie wywiadu od razu zauważyli, iż trafiła im się nietuzinkowa persona. Jeniec dostał zezwolenie na działalność naukową, a jego karierę zaczęła wspierać administracja Trumana. W 1948 r. Georgetown University zaoferował Hallsteinowi posadę profesora wizytującego. Jednocześnie zaczął się on angażować w działalność organizacji promujących zjednoczenie Europy. Wreszcie po przejściu bez problemu procedury denazyfikacyjnej w 1951 r. otrzymał od kanclerza Adenauera posadę sekretarza stanu w MSZ. Na jego barkach spoczęło kierowanie po stronie niemieckiej pracami nad powołaniem Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali. Potem nadzorował kolejne projekty integracyjne. Aż w styczniu 1958 r. objął stanowisko przewodniczącego powołanej do życia Komisji EWG. Dla federalistów wkrótce stał się bohaterem walczącym o zjednoczenie Europy. Dla de Gaulle’a był byłym nazistą i amerykańskim agentem, którego należało wyeliminować z europejskiej polityki.

Kalendarz zdarzeń zdecydował, że o wszystkim mieli rozstrzygnąć francuscy wyborcy. 19 grudnia 1965 r. 55,2 proc. z nich poparło zwolennika „Europy ojczyzn”, zaś 44,8 proc. „federalistę”. Dla kanclerza Ludwika Erharda oraz premiera Alda Mora był to sygnał, iż należy jak najszybciej się dogadać, póki wspólnoty istnieją. Natomiast Hallsteina rzucić generałowi na pożarcie.

Rozpoczęte przez rządy krajów EWG rokowania w Luksemburgu przyniosły 18 stycznia 1966 r. wielki triumf de Gaulle’owi. Plan Hallsteina trafił do kosza. Co więcej, wbrew traktatom rzymskim wprowadzono dla krajów członkowskich prawo wetowania decyzji Rady Ministrów EWG, jeśli „zostanie zagrożony bardzo ważny interes narodowy”. Na koniec zdecydowano o połączeniu Komisji EWG z komisjami dwóch pozostałych wspólnot. To przyniosło przerwanie kadencji Hallsteina, a na kolejną nie został wybrany. Osiągnąwszy wszystko, czego pragnął, de Gaulle dwa miesiące później zademonstrował Amerykanom, iż nie będzie ustępował ani „ich człowiekowi” w EWG, ani im samym. Francja 11 marca 1966 r. wystąpiła ze struktur wojskowych NATO, a wojska USA otrzymały polecenie opuszczenia terytorium V Republiki. ©

Ucieczka z klatki

Zaburzenia psychiczne należą nie tylko do najbardziej zabójczych, lecz także do najdroższych schorzeń, z którymi muszą sobie radzić społeczeństwa na całym świecie. Walka z nimi trwa już od kilkuset lat

Sebastian

Pawlina

Ponad 57 mld zł państwo polskie wydało na świadczenia związane z niezdolnością do pracy w 2024 r. Tak wynika z raportu opublikowanego przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych w ubiegłym roku. Niechlubne pierwsze miejsce zajęły zaburzenia psychiczne i zaburzenia zachowania. Z wynikiem 17,7 proc. zauważalnie wyprzedziły resztę stawki. Europejskie i światowe organizacje od lat zwracają uwagę na koszty, które ponosi gospodarka w związku z koniecznością zaopiekowania się ludźmi cierpiącymi na depresję czy schizofrenię. Choroby te są jednak przede wszystkim realnym zagrożeniem dla życia. Potwierdzają to badania opublikowane w 2025 r. na łamach renomowanego miesięcznika „The Lancet Regional Health-Europe”. Według nich choroba psychiczna znacznie zwiększa ryzyko wystąpienia chorób układu sercowo-naczyniowego i powikłań w tych już istniejących. Ustalono też, że osoby cierpiące na ciężkie przypadki zaburzeń psychicznych żyją średnio o 10–20 lat krócej niż wynosi przeciętna długość życia w populacji.

Najsukuteczniejszą i najtańszą formą walki z tymi zaburzeniami jest profilaktyka. Zrozumieli to również nasi posłowie, którzy jesienią minionego roku ogłosili rozpoczynający się właśnie rok 2026 Rokiem Profilaktyki Zdrowotnej. W tekście uchwały autorzy piszą m.in., że „rosnąca liczba chorób cywilizacyjnych, przedwczesne zgony z powodu chorób serca, nowotworów, cukrzycy czy depresji – wszystko to uwidoczniła, że w systemie ochrony zdrowia potrzebne jest nie tylko leczenie, ale przede wszystkim skuteczna profilaktyka”. Nie może być jednak mowy o niej bez świadomości gąi problemu.

Chorzy i wykluczeni

Najpierw był trąd, najstarsza udokumentowana choroba w dziejach ludzkich. Pierwsze jego opisy znamy ze starotestamentowej Księgi Kapłańskiej. „Jeśli oznaka trądu pojawi się na kimś, niech przyjdzie do kapłana. Gdy kapłan spojrzy i zobaczy białą bliznę na skórze i pobieliałe na niej włosy, a na tej bliznie widoczne przebicia zdrowego i żywego ciała, jest to trąd zesterzały, występujący na skórze ciała. Kapłan uzna go za nieczystego. Odosobni go, bo jest nieczy-

sty” (13,9–11, wg Biblii pierwszego Kościoła). Szczyt zachorowań na trąd przypadł w Europie na okres od XI do XIII w. Aż do XVI w. Europa pokryta była gęsto leprezoriai (od łacińskiego „lepra”, trąd), koloniami trądowatych. Michel Foucault w „Historii szaleństwa w dobie klasycyzmu” podał, że miało ich być nawet 19 tys. Obejmowano je regulaminami, zarządzeniami, edyktami. Jeśli chorzy chcieli wyjść na zewnątrz, musieli założyć specjalne ubrania, a kółkami albo dzwoneczkami dawali znać, kim są. Mieli również zakaz wchodzenia do kościołów. Wszystko po to, aby uchronić innych przed kontaktem z nimi.

Kiedy wraz z zanikaniem choroby leprezoria zaczęły pustoszyć, pojawili się nowi ich mieszkańcy – wenerycy. Ich przypadłości szybko włączono w zakres zainteresowania ówczesnej medycyny. Symboliczne miejsce trądu jako kary boskiej, będącej bardziej obiektem zainteresowań księży niż lekarzy, zajęło zaś „zjawisko bardzo złożone i bardzo powoli przechodzące w ręce medycyny”, jak pisał Foucault. Było nim szaleństwo, którym zbiorczo opisywano to, co dzisiaj znamy pod nazwą zaburzeń psychicznych. Cierpiący na nie, podobnie jak trądowaci, nie byli początkowo poddawani leczeniu, ale wykluczeniu. Charakterystycznym zjawiskiem było wyganianie ich poza granice miast.

Trudna opieka

Prawdopodobnie traktowano tak jedynie napływowych szaleńców. O tych lokalnych dbano, zazwyczaj ich izolując. Ci pochodzący z dobrze sytuowanych rodzin często byli trzymani w domu. Troszczyli się o nich najbliżsi, wśród których wyznaczano kuratora. Już w prawie magdeburskim, znanym w Polsce od początku XIII w., znajdowały się zapisy o konieczności opieki nad cierpiącymi na zaburzenia umysłowe. Na tych poleceniach konstruowano kolejne zapisy. Procedura była prosta. Najpierw rodzina występowała do właściwych władz o kuratelę nad chorym, następnie biegli oceniali, czy wskazany człowiek faktycznie potrzebuje takiej opieki. W sprawach szlachty ostateczną decyzję podejmował król, w przypadku mieszczan – władze miejskie.

Często wybierano więcej niż jedną osobę. Tak się stało w przypadku krajczego litewskiego Marcina Mikołaja Radziwiłła. Jak w pracy „Melancholia, szaleństwo i inne «choroby głowy»



w Rzeczypospolitej w XVII i XVIII wieku” podaje Elżbieta Nowosielska, „ów magnat zasłynął z tego, że w swoim dworze pod Czarnawczycami utrzymywał harem złożony z dziewcząt porwanych lub kupionych z okolicznych wsi. Ówczesną opinię publiczną bulwersował też fakt, że chory postanowił przejść na judaizm, zwolnił prawie całą katolicką służbę i zaczął otaczać się Żydami. Uwięził również swoją żonę i dzieci, które przetrzymywał w podłych warunkach”. Znanie były przypadki jego agresji wobec służby i gości. Dopuszczał się też porwań.

Jeden z poszkodowanych postawił sprawę na sejmiku województwa brzeskiego. W efekcie panujący wtedy August III Sas wyznaczył trzech kuratorów, wszystkich z rodu Radziwiłłów. Jeden z nich, chorąży litewski Hieronim Florian, żałował tego później do tego stopnia, że swoim dzieciom odradził przyjmowanie takich funkcji. Nie tyl-

ko bowiem musiał dbać o samego Marcina Mikołaja, który resztę życia spędził w swoich dobrach w Białej i Słucku, lecz także płacić za szkody, które ten wyrządził innym, jak również utrzymywać jego żonę i dzieci.

Nie ma jednak pewności, że oddany pod nadzór faktycznie cierpiał na chorobę umysłową. A bywało tak, że instytucję kurateli wykorzystywano do przejęcia majątku. Stwierdzenie „szaleństwa” miało również inne konsekwencje prawne – było podstawą do unieważnienia małżeństwa albo testamentu.

Czy kawa szkodzi?

Najbiedniejsi w XVI i XVII w., kiedy niewiele było jeszcze miejsc, w których mogliby otrzymać opiekę, otrzymywali wsparcie finansowe. W końcu jednak i dla nich trzeba było znaleźć bez-

Jeszcze w 1818 r. jedna z warszawskich gazet opisywała, jak ludność miasta w Poniedziałek Wielkanocny szła do kościoła i szpitala bonifratrów. Nie na mszę, tylko na festyn ludowy nazywany Emaus, w którego trakcie oglądało się „wariatów”



Tony Robert-Fleury,
„Philippe Pinel uwalniający
szaleńców z kajdan w szpitalu
Salpêtrière w Paryżu”

tem badań w Anglii. W Polsce lekarze niewali problemy z jej rozpoznaniem. W wydanym w 1789 r. „Compendium medicum auctum”, zawierającym opisy większości znanych wówczas chorób, jako objawy melancholii wskazano: szaleństwo, napady lęku, smutku, amnezję, podejrzliwość, niechęć do kontaktów z ludźmi, problemy ze snem, niekontrolowany śmiech lub płacz itp.

Ponad 140 lat wcześniej, w 1648 r., Jan Jonston, wybitny historyk medycyny, Szkot z pochodzenia, Polak z wyboru, opublikował pracę, w której wymienił podobny zestaw symptomów. Pokazuje to, jak powolny był rozwój wiedzy o chorobach psychicznych. Nawet Jonston nie znał prawdopodobnie najważniejszej w tamtych czasach, aktualnej zresztą do dzisiaj, pracy o tej chorobie, czyli wydanej w 1621 r. „Anatomii melancholii” Roberta Burtona.

Nie tylko rozpoznanie chorób, lecz także ich źródła były dla XVI-XVIII-wiecznych lekarzy, nie tylko w Polsce, trudne do odkrycia. Ciągłe obowiązująca była istniejąca od starożytności teoria humoralna, zakładająca istnienie w ciele człowieka czterech płynów (humorów): krwi, flegmy, czarnej oraz żółtej żółci. Popularnością cieszyła się astrologia. Wielu uczonych twierdziło, że lekarz nie może właściwie wykonywać swojej pracy bez znajomości wpływu ciał niebieskich na człowieka. Uwagę zwracano na płeć chorego. Twierdzono, że kobiety są bardziej podatne na zaburzenia psychiczne. Ich przyczyn upatrywano w tym przypadku np. w wykształceniu oraz literaturze rozrywkowej, uważając, że jedno i drugie ma zgubny wpływ na kobiety. Według XIX-wiecznego lekarza Edwarda Séguina upośledzenie umysłowe człowieka mogło być związane z tym, co jego matka robiła w ciąży. Wśród szkodliwych czynników wymieniał rozsądnie niedożywienie, ale także, jak podaje Nowosielska, „nadmiar bodźców, takich jak perfumy, muzyka, obrazy, książki, teatr lub działalność matki w jakichś stowarzyszeniach”. Dyskutowano również o wpływie kawy. Niemieccy lekarze ponoć ostrzegali pacjentów, że jej nadmiar może prowadzić do masowych zgonów. Ale dopiero w trzecim pokoleniu.

Przełom w postrzeganiu

Postrzeganie chorób psychicznych zaczęło się zmieniać pod koniec XVIII w. Stała za tym osobista tragedia Philippe’a Pine-la, francuskiego pisarza i lekarza dzisiaj nazywanego ojcem nowoczesnej psychiatrii. Początkowo zajmował się opisywaniem chorób. Kiedy w 1783 r. zmarł jego przyjaciel, cierpiący prawdopodobnie na zaburzenie afektywne dwu-

biegunowe, zajął się chorobami umysłowymi. Dziewięć lat później został dyrektorem w jednym z paryskich szpitali, a już w trakcie Wielkiej Rewolucji Francuskiej dokonał rzeczy iście rewolucyjnej – w 1795 r. uwolnił z kajdan pacjentów szpitala Salpêtrière. Wtedy bowiem krępowanie, a także polewanie zimną wodą i trzymanie w izolatkach były postrzegane jako metody lecznicze w przypadku „szaleństwa”.

Pinel przekonywał, że w leczeniu ważne jest umożliwienie pacjentom kontaktu z przyrodą, że należy stworzyć im bezpieczną i uporządkowaną przestrzeń, w której nie byłoby przesadnie dużo rozrywek. Postulował dbałość o higienę, odpowiednią dietę pozbawioną alkoholu. Wszystkie te elementy, czyli wyciszanie układu nerwowego i utrzymywanie ciała w dobrej kondycji, są do dziś podstawą kuracji wielu zaburzeń psychicznych. Pinel nie tylko dał alienistom, jak nazywano wówczas psychiatrów, konkretne narzędzia do ręki. Przede wszystkim nadał chorym podmiotowość, uznając ich człowieczeństwo. Czasy pilnowania, aby nie przeszkadzali zdrowym, wypędzania ich z miast, szukania wytłumaczeń ich stanu w opętaniu albo karze boskiej, dobiegały końca.

Ideę te rozpowszechniały się jednak powoli. Jeszcze w 1818 r. jedna z warszawskich gazet opisywała, jak ludność miasta w Poniedziałek Wielkanocny szła do kościoła i szpitala bonifratrów (część zabudowań stoi do dzisiaj u zbiegu ulic Konwiktorskiej i Bonifraterskiej). Nie na mszę, tylko na festyn ludowy nazywany Emaus, w którego trakcie oglądało się „wariatów”. Ponad 20 lat po reformie Pine-la w stolicy Królestwa Polskiego pacjenci psychiatryczni nadal byli traktowani jak dziwowisko, z którego można się pośmiać.

Z dbałością o szczegóły

W lipcu 1833 r. pozbawiono zakonników kontroli nad założoną przez nich placówką. Dwa lata po upadku powstania listopadowego Rada Administracyjna sprawująca władzę nad Królestwem Polskim dokonała gruntownych zmian w zarządzaniu szpitalami, powierzając je państwu. Pomogło to stopniowo poprawiać sytuację. W 1867 r. naczelnym lekarzem u bonifratrów został Adolf Rothe. Studia medyczne ukończył w Akademii Medyko-Chirurgicznej w Sankt Petersburgu. Tam został ordynatorem Szpitala dla Robotników, z którego przeniósł się do Kamieńca Podolskiego. W tamtejszym szpitalu miejskim zrobił to samo, co wcześniej Pinel, tj. zlikwidował więzanie pacjentów oraz zaczął organizować życie oddziału tak, żeby jak najbardziej pomóc swoim podopiecznym. Po przyjeździe do Warszawy zaangażował się w liczne działania na rzecz rozwoju psychiatrii.

Jego największym dziełem stało się stworzenie szpitala w Tworkach. Prace nad nim rozpoczęły się w 1888 r. W trakcie prac projektowych, którymi kierował znakomity architekt Józef Pius Dziekoński, dbał o najmniejsze szczegóły.

„Przejęty lekarz nie pominął nawet takich kwestii jak odległość między sa-

lami a ubikacjami. Zaprojektował schody, specjalne zamki w drzwiach i używane do nich klucze. Zawsza myślał o położeniu drewnianych podłóg, zdając sobie sprawę, że kamienne, wywołując nadmierny hałas, zakłócałyby niezbędny w lecznicy spokój. Zasugerował sposób otwierania drzwi i okien. Kraty w oknach – «konieczne» – najlepiej, gdyby były koszykowe, bo «najprzyjemniejsze dla oka», a jeszcze dają możliwość umieszczenia donic z kwiatami” – pisze w „Psychiatrii w Polsce” Anna Mateja.

W pracach tych towarzyszył mu inny wybitny psychiatra Jan Baliński. Starszy o kilka lat od Rothe’go, w 1867 r. założył pierwszą w Rosji klinikę psychiatryczną. Współtworzył również Towarzystwo Psychiatryczne w Sankt Petersburgu. Stworzona przez nich placówka cieszyła się dużym zainteresowaniem. Krótko przed otwarciem, w listopadzie 1891 r., na miejscu pojawił się dziennikarz „Tygodnika Ilustrowanego”. W napisanym po wizycie artykule zachwycał się zarówno koncepcją, jak i rozplanowaniem i zastosowanymi rozwiązaniami, w tym oświetleniem elektrycznym, pierwszym takim w szpitalu w Królestwie Polskim.

Dziejowa rola psychiatrii

Pierwszym dyrektorem szpitala został Rosjanin Władimir Chardin. Był naukowym wnukiem Balińskiego. Kształcił się bowiem pod okiem jego ucznia Jana Lucjana Mierzejewskiego. Dobre przygotowanie do zawodu nie uratowało go przed zwolnieniem. Stało się to po tym, jak Rafał Radziwiłłowicz, również wychowanek Mierzejewskiego, odkrył nieprawidłowości finansowe w szpitalu. Chardin stracił stanowisko, a Radziwiłłowicz miał dostać medal. Odmówił jego przyjęcia. W reakcji na to władze carskie również jego usunęły z placówki.

Być może powodem takiej reakcji było również jego polityczne zaangażowanie. Sympatyzował bowiem z Polską Partią Socjalistyczną, oddając jej poważne przysługi. W lutym 1900 r. carscy żandarmi aresztowali w Łodzi małżeństwo Piłsudskich, Marię i Józefa, którego w kwietniu przeniesiono na warszawską Cytadelę i osadzono w X Pawilonie. Ucieczka stamtąd była niemożliwa. Korzystając z pomocy zastępcy naczelnika więzienia, skontaktowano osadzonego z Radziwiłłowiczem. Ten przekazał mu instrukcje dotyczące tego, jak ma udawać obłąd. Ściągnięto rosyjskiego psychiatrę, który zalecił skierowanie Piłsudskiego do szpitala psychiatrycznego. Wywieziono go aż do Sankt Petersburga, do szpitala Mikołaja Cudotwórcy, skąd z pomocą towarzyszy z PPS uciekł kilka miesięcy później.

Wydostając jednego z ojców niepodległości na wolność, psychiatria zauważalnie przysłużyła się Polsce. Nie mniej ważne zdaje się to, że dzięki pracy ludzi takich jak Radziwiłłowicz, Rothe, Baliński czy wcześniej Jonston, pomogła i pomaga uciec z klatki tych prawdziwych chorób tysiącom zwyczajnych ludzi. ©

Halny pozostał w snach

Tatrzański Park Narodowy ma 70 lat. Niewielu masowo odwiedzających park turystów wie, że do jego powołania było konieczne wyłączenie górskich rodzin. One nie zapomniały

Zofia

Brzezińska

Lipiec 1965 r. Do osnutej mgłami Doliny Olczyńskiej przychodzi robotnicy z piłą motorową. Owczarz bezradnie patrzy, jak metodycznie tną belki jego baczki. Robotnicy unikają jego wzroku. To mieszkańcy pobliskiej miejscowości, znają właściciela, lecz teraz zachowują się, jakby go nie poznawali.

– Mamy polecenie, żeby usunąć nielegalne obiekty – oznajmia sucho brygadziści. – One nie są „nielegalne”. One są moje – protestuje cicho pasterz, ale nikt go nie słucha. Pocięte deski zostają wrzucone do ogniska.

Narodziny idei

Tak nieraz wyglądały wydarzenia, o których do dzisiaj starsi górale opowiadają z żywą wciąż goryczą. Choć nie ulega wątpliwości, że intencje Rady Ministrów, gdy 30 października 1954 r. wydawała rozporządzenie o utworzeniu Tatrzańskiego Parku Narodowego, były dobre. Decyzji tej przyświecała przede wszystkim myśl o ochronie unikalnych walorów tatrzańskiej przyrody.

Z potrzeby ochrony tatrzańskiej natury ludzie zdawali sobie sprawę już w latach 80. XIX w. Wielu wykształconych miłośników gór alarmowało, że nadmierna i niekontrolowana działalność człowieka – wyrąb lasów, polowania, pasterstwo – może doprowadzić do nieodwracalnych zmian w charakterze górskiej przyrody. W 1873 r. powstało Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, którego celem było nie tylko propagowanie rodzącej się dopiero turystyki górskiej, lecz także uprawianie jej w sposób niekolidujący z dobrem przyrody. Wśród założycieli PTT byli m.in. Tytus Chałubiński – lekarz i przyrodnik, jeden z pionierów badań natury Tatr, a także hrabia Władysław Zamoyski – arystokrata oraz filantrop, który finansował projekty ochrony gór i budowę schronisk. To Zamoyskiemu Polska zawdzięcza własność największego tatrzańskiego skarbu – jeziora Morskie Oko, które hrabia zakupił wraz z otaczającymi je terenami.

Pierwsze pomysły ograniczenia niektórych aktywności w Tatrach (zwłaszcza pasterstwa i wycinki lasów) poja-

wiły się od razu po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r., lecz ponieważ nie ustanowiono tam jeszcze parku narodowego, brakowało realnych mechanizmów wyłączenia terenów prywatnych. Prace administracyjne w tym kierunku zostały wstrzymane przez wybuch II wojny światowej. Temat powrócił na dobre w 1954 r., gdy powołano do życia TPN – jeden z pierwszych parków narodowych powstałych w okresie PRL-u. Rozpoczął funkcjonowanie 1 stycznia 1955 r., kiedy rozporządzenie Rady Ministrów weszło w życie.

Przyroda i ludzie

Znaczącą przeszkodą do realizacji celów wyznaczonych przez statut TPN okazało się to, że ogromne obszary włączonego w jego granice terenu należały od pokoleń do poszczególnych górskich rodzin. Ludzie ci od zawsze pracowali na życie, wypasając owce na górskich halach. Rytm ich egzystencji był mocno skorelowany z porami roku wyznaczającymi cykl wypasu. Często na okres letnich miesięcy na hale przenosili się poszczególni członkowie danej rodziny – nierzadko młodzież i dzieci, gdyż starsi doглядali innych prac gospodarskich – i mieszkali tam przez całe lato, opiekując się zwierzętami i śpiąc w szałasach pasterskich (przykładem są siostry Helena i Zofia Stasik, które jako nastolatki spędzały wszystkie wakacje na hali Kopieniec; ich opowieść przedstawia przygotowany z okazji 70. rocznicy powstania TPN film Bartka Solika pt. „Ostatnia noc na Kopieńcu”). Ci ludzie nie znali innej rzeczywistości, więc na wieść o tym, że ich ojcowizna zostanie im odebrana, przeważnie reagowali całkowitym niezrozumieniem.

Powierzchnia parku wynosiła ok. 21 164 ha. W jego skład wchodziły najważniejsze doliny i hale górskie, między innymi Dolina Kościeliska, Dolina Chochołowska, Dolina Gąsienicowa, Dolina Pięciu Stawów Polskich, Hala Gąsienicowa, Hala Stoły oraz Hala Kondratowa. Pasterze posiadali prawa do wypasu owiec na halach i utrzymywali własne szałasowe oraz baczki, zwłaszcza na Hali Gąsienicowej, Hali Stoły i w Dolinie Chochołowskiej. Sy-

tuację tę miał już wkrótce (w 1958 r.) zmienić dekret o wyłączeniu, który zezwolił na przejmowanie prywatnych gruntów w celach ochrony przyrody. Administracja parku i organy państwowe wydawały indywidualne decyzje dla każdej rodziny i wręczały pismo określające powierzchnię przejmowaną przez park, a także ewentualny nakaz rozbiórki umiejscowionych na niej szałasów pasterskich czy innych budynków gospodarczych. W razie odmowy władza była brutalna.

75-letnia Maria z Poronina opowiada, jaki los spotkał szałas w przywoływanej już Dolinie Olczyńskiej: „W Olczyńsku bardzo dużo popolyli szałasów. Kto? Nie wiem. Milicja była i przewoźnie żukiem przewożyli tyk upartyk, co nie chcieli zżyć z hól”. Podobnymi wspomnieniami dzieli się 65-letni Romuald: „Mieliśmy altanę u wylotu Doliny za Bramką, pradziadek wybudował dla swojej żony, aby prowadziła bufet, i też go spalili. Miętosią też spalili, po schronisku na Przysłopie została tylko jabłonka”.

Szczególnie bolesne było to, że choć decyzje zapadały w Warszawie, to do ich wyegzekwowania park często zatrudniał mieszkańców Podhala.

I jakkolwiek trudno z dzisiejszej perspektywy oceniać działania ludzi, którzy podejmowali się tej pracy w celu utrzymania siebie i swoich rodzin, wyłączeni górale określali ich jednoznacznie: „Górale to byli, ale już pracownicy parku”. Słowo „parkowcy” do dzisiaj funkcjonuje w słowniku ludności Podhala jako wyraz nacechowany pejoratywnie.

Niektórzy pokrzywdzeni próbowali odmienić bieg wydarzeń, odwołując się od decyzji administracyjnych do sądów lub składając wizyty w ówczesnych ministerstwach. Takie sytuacje należały jednak do rzadkości. Osoby słabiej wykształcone często nie wiedziały nawet, gdzie mogą szukać pomocy prawnej. Nieliczne sprawy docierały do Sądu Najwyższego, co jednak nie gwarantowało uczciwego i praworządnego procesu. 55-letni Stanisław z Suchego relacjonuje: „Przyšli do nas ludzie ze Suchego i napisali odwołanie do Sądu Najwyższego do Warszawy. Przysła odpowiedź, że będzie rozprawa. Była wielka narada w chałupie znowu. Uznali wszyscy, że musom jechać. Kromke chleba wzięni i do Poronina na kolej do Warszawy poszli. Wrócili se na drugom noc i opowiadali. Sędzina spytała: «a gdzie jest



TATRY

Was więcej?» Mama gado, że oni som tu przedstawicielami współwłaścicieli. Sąd odpedzioł, że z paroma osobami rozmawiać nie będzie i niepotrzebnie przyjechali».

Niektórzy górale próbowali dalej potajemnie wypasać owce, lecz było to ryzykowne zajęcie. W razie wykrycia groziły za to gigantyczne kary finansowe. Większość pasterzy powoli godziła się z rzeczywistością, a swoje stada wyprowadzała na położone niżej, poza granicami parku tereny – w pasmo Gubałówki lub w okolice wylotów dolin. Pozostawione na opuszczonych halach szałas, które nie zostały zakwalifikowane do spalania lub rozbiórki, ulegały naturalnej degradacji lub aktom wandalizmu ze strony turystów.

Ani kupizny, ani ojcowizny

Wywłaszczeni górale dostali propozycję odszkodowań, choć w wysokości dalekiej od straty. Przyznawano je często częściowo i w ratach, a ich wartość była ustalana przez administrację państwową, nie zaś według rynkowej ce-

ny gruntów. W praktyce oznaczało to, że wielu byłych właścicieli gruntów w Tatrach otrzymywało rekompensatę niewystarczającą do utrzymania dotychczasowego poziomu życia i zupełnie nieadekwatną do realnej wartości nieruchomości. Jak opowiada 53-letni Grzegorz z Leśnicy: „Dziadek za los pieniondze wzion. Było tego telo, że w kupył jakiegosik dolara i w 1984 r., jak babka umarła, to w Poroninie na cmentarzu jednom cwartom nagrobka zrobił za ten las”. Niektórym gospodarzom zaoferowano opcję dzierżawy gruntów w Bieszczadach lub w Beskidzie Niskim, czyli na terenach, z których zostali po wojnie wysiedleni Łemkowie. Już w 1973 r. te tereny odebrano jednak TPN i przekazano innym podmiotom, głównie nowo utworzonemu Bieszczadzkiemu Parku Narodowemu.

Wielu górali odmawiało przyjęcia jakiegokolwiek formy odszkodowania, gdyż uważało, że wzięcie pieniędzy będzie równoznaczne z uznaniem decyzji władzy i zrzeczeniem się prawa własności. 77-letnia Ludwina wspomina: „W czasach stalinowskich można było nie wzionć piniendzy – i to był największy protest”. „Inni myśleli, że to ik własność jesce będzie” – dopowiada

76-letni Andrzej z Poronina. Rzeczywiście, część uprawnionych nie odbierała odszkodowania w przekonaniu, że jeśli wezmą, to wyrażą zgodę na przejęcie ziemi przez państwo. Czasami dochodziło do sytuacji, że gospodarze, którzy zdecydowali się przyjąć odszkodowanie, spotykali się z otwartym potępieniem środowiska.

Odszkodowania nieprzyjęte trafiały do depozytów sądowych, a po upływie pięciu lat przechodziły na własność Skarbu Państwa.

Nie tylko Podhale

Nadal toczy się 501 postępowań o zwroty i unieważnienia decyzji wywłaszczeniowych. Wśród wywłaszczonych w latach 1960–1980 osób (których liczbę szacuje się na ok. 6 tys.) oraz ich spadkobierców tłą się nadzieje, że rezultatem tych postępowań będzie otrzy-

manie adekwatnych odszkodowań odpowiadających współczesnym warunkom ekonomicznym.

Warto pamiętać, że podobne sytuacje miały miejsce nie tylko w TPN. Na bardzo zbliżonych zasadach i w tym samym roku (1954) utworzono Babiogórski Park Narodowy, a tamtejsi górale dostali zakaz kontynuowania wypasu owiec na swoich halach. Oni również bezskutecznie przeciwko niemu protestowali i otrzymali ofertę przyjęcia nieekwiwalentnych odszkodowań. W jeszcze bardziej skomplikowanym położeniu znalazł się Pieniński Park Narodowy (utworzony oficjalnie w 1954 r., choć jako rezerwat istniał już od 1932 r.). Jego terenami zarządzały bowiem władze polskie i słowackie, co jeszcze bardziej utrudniało regulację spraw własnościowych. Karkonoski Park Narodowy (utworzony w 1959 r.) otrzymał władzę nad terenami, na których dużo było opuszczonych majątków poniemieckich. Właściciele polskich było mniej niż w Tatrach, a konflikty dotyczyły górskich schronisk, gruntów rolnych oraz praw do wypasu. Część obiektów turystycznych została upaństwowiona bez właściwej rekompensaty, co wywoływało spory aż do lat 70.

Wypas owiec na Hali Gąsienicowej. Zdjęcie z lat 1939-1945

Dobro dla wszystkich

Współczesny TPN – główny „winowajca” – powraca do problemu wywłaszczeń z szacunkiem i uwagą, czego dowodem jest zorganizowana w Kuźnicach wystawa „To nom jesce w dusy gro”. Jak zaznaczają jej twórcy: „Naszym celem nie jest rozdrapywanie ran, lecz oddanie głosu i hołdu tym, na których krzywdzie zbudowano dobro narodowe wszystkich Polaków”. Dziś Tatry są corocznie odwiedzane przez miliony turystów (w 2024 r. park sprzedał rekordową liczbę 5,09 mln wejściówek). Tak wielki ruch nie jest dewastujący dla przyrody, bo koncentruje się na reglu dolnym i odbywa się na wyznaczonych (i w razie potrzeby zamkniętych) szlakach.

Można tylko przypuszczać, jak wyglądałoby dzisiejsze oblicze Tatr, gdyby 70 lat temu władza nie podjęła tak drastycznych kroków w kierunku ochrony tej wyjątkowej przyrody. Warto przypomnieć, że Tatry są miejscem bytowania blisko 1 tys. gatunków roślin naczyniowych, spośród których wiele to gatunki rzadkie lub wręcz endemity. Jest wśród nich szarotka alpejska – zagrożony symbol Tatr znajdujący się pod ścisłą ochroną. Na utworzeniu parku bardzo zyskały również zwierzęta, na które dzięki temu przestano polować. Liczebność kozic tatrzańskich, która dramatycznie spadła w XIX i XX w., teraz jest stabilna. Podobne zjawisko dotyczy zwierząt takich jak świstaki, niedźwiedzie brunatne, rysie czy wilki. Wszystkie te cele udało się osiągnąć, nie rezygnując całkowicie z pasterstwa. TPN od lat prowadzi kulturowy wypas owiec, aby zachować tradycje regionu. Stanowi on też jedną ze znaczących atrakcji turystycznych. ©



FOT. NAC



WOJEWODA MAZOWIECKI

Ogłoszenie o toczących się postępowaniach administracyjnych w sprawach ustalenia odszkodowań z tytułu ograniczonego sposobu korzystania z części nieruchomości położonych w powiecie kozienickim, gmina Głowaczów, gmina Gniewoszków, gmina Kozienice

Wojewoda Mazowiecki – stosownie do art. 30 ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu (t.j. Dz. U. z 2025 r., poz. 1222), art. 113 ust. 6 i ust. 7 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz. U. z 2024 r., poz. 1145 ze zm.), w związku z art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz. U. z 2025 r., poz. 1691) – **informuje, że toczą się postępowania administracyjne w sprawach ustalenia odszkodowań z tytułu ograniczenia sposobu korzystania z części nieruchomości o nieuregulowanym stanie prawnym, położonych w powiecie kozienickim:**

- **gmina Głowaczów, obręb 0035 Studnie, oznaczonych w ewidencji gruntów jako działki:**
 - numer 599 o powierzchni 0,20 ha,
 - numer 598 o powierzchni 0,30 ha,
- **gmina Głowaczów, obręb 0033 Stanisławów, oznaczonych w ewidencji gruntów jako działki:**
 - numer 149 o powierzchni 1,5600 ha,
 - numer 150 o powierzchni 1,5500 ha,
 - numer 161 o powierzchni 1,7300 ha,
 - numer 87 o powierzchni 2,4800 ha,
- **gmina Gniewoszków, obręb 0002 Borek, oznaczonych w ewidencji gruntów jako działki:**
 - numer 854 o powierzchni 0,2600 ha,
 - numer 1008 o powierzchni 0,4600 ha,
 - numer 1010 o powierzchni 0,4200 ha,
 - numer 1028 o powierzchni 0,1700 ha,
 - numer 1036 o powierzchni 0,2600 ha,
 - numer 1042 o powierzchni 0,2300 ha,
 - numer 1043 o powierzchni 0,2400 ha,
- **gmina Kozienice, obręb 0013 Kociołki, oznaczonych w ewidencji gruntów jako działki:**
 - numer 124/2 o powierzchni 0,1800 ha,

Wyżej wymienione nieruchomości objęte zostały decyzją Wojewody Mazowieckiego Nr 100/SPEC/2020 z dnia 22 września 2020 r. ustalającą lokalizację inwestycji towarzyszącej inwestycji w zakresie terminalu polegającą na „Budowa gazociągu w/c MOP 8,4 MPa DN 1000 relacji Gustorzyn – Wronów, ETAP III Rawa Mazowiecka – Wronów stanowiącego część inwestycji pn. „Budowa gazociągów Wronów – Odolanów wraz z infrastrukturą niezbędną do jego obsługi na terenie województw lubelskiego, mazowieckiego, łódzkiego i wielkopolskiego”.

Ogłoszenie o toczących się postępowaniach w sprawach ustalenia odszkodowań z tytułu ograniczenia sposobu korzystania z części nieruchomości położonych w gminie Wyszmyrce–Miasto, gminie Mogielnica, gminie Jedlińsk

Wojewoda Mazowiecki – stosownie do art. 30 ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu (t.j. Dz. U. z 2025 r., poz. 1222), art. 113 ust. 6 i ust. 7 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz. U. z 2024 r., poz. 1145 ze zm.), w związku z art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz. U. z 2025 r., poz. 1691) – **informuje, że toczą się postępowania administracyjne w sprawach ustalenia odszkodowań z tytułu ograniczenia sposobu korzystania z części nieruchomości o nieuregulowanym stanie prawnym, położonych w:**

- **gminie Wyszmyrce–Miasto, obręb Wyszmyrce (arkusz 1, arkusz 2, arkusz 6), oznaczonych w ewidencji gruntów jako działki:**
 - numer 3/5 o powierzchni 27,9568 ha,
 - numer 3/5 o powierzchni 86,6858 ha,
 - numer 3/6 o powierzchni 65,7670 ha,
 - numer 2402 o powierzchni 0,1783 ha,
 - numer 2406 o powierzchni 0,1681 ha,
- **gminie Mogielnica, obręb Dziarnów, oznaczonych w ewidencji gruntów jako działki:**
 - numer 1372 o powierzchni 0,27 ha,
 - numer 1380 o powierzchni 0,29 ha,
- **gminie Mogielnica, obręb Świdno, oznaczonych w ewidencji gruntów jako działki:**

- numer 147 o powierzchni 0,07 ha,
- numer 142 o powierzchni 0,11 ha,
- numer 522 o powierzchni 0,97 ha,

– gminie Jedlińsk, obręb Kruszyna, oznaczonych w ewidencji gruntów jako działki:

- numer 111 o powierzchni 0,4900 ha,
- numer 125 o powierzchni 1,3200 ha,
- numer 149 o powierzchni 0,0900 ha,
- numer 151 o powierzchni 0,7600 ha,

– gminie Stara Błotnica, obręb Siekluki, oznaczonych w ewidencji gruntów jako działki:

- numer 698 o powierzchni 0,5000 ha,
- numer 701 o powierzchni 1,0300 ha,
- numer 753 o powierzchni 0,1800 ha,
- numer 711 o powierzchni 0,3100 ha,
- numer 750 o powierzchni 0,2400 ha,

objętych decyzją Wojewody Mazowieckiego 92/SPEC/2020 z dnia 31 sierpnia 2020 r. o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej w zakresie terminalu na rzecz Operatora Gazociągów Przesyłowych GAZ–SYSTEM S.A., polegającą na: „budowie gazociągu w/c MOP 8,4 MPa DN 1000 relacji Gustorzyn – Wronów, ETAP III Rawa Mazowiecka – Wronów stanowiącego część inwestycji pn. „Budowa gazociągów Wronów – Odolanów wraz z infrastrukturą niezbędną do jego obsługi na terenie województwa lubelskiego, mazowieckiego, łódzkiego i wielkopolskiego”.

Ogłoszenie o toczących się postępowaniach odszkodowawczych za nieruchomości położone w gminie Policzna, powiat zwoleński

Wojewoda Mazowiecki – stosownie do art. 23 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (t.j. Dz. U. z 2024 r., poz. 311), art. 113 ust. 7 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz. U. z 2024 r., poz. 1145 ze zm.), w związku z art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz. U. z 2025 r., poz. 1691) – **informuje, że toczy się postępowanie administracyjne w sprawie ustalenia odszkodowania za nieruchomość, która posiadała nieuregulowany stan prawny, położone w:**

– gminie Policzna, obręb 0016 Policzna (arkusz 1), oznaczone jako działki:

- numer 125/34 o powierzchni 0,0084 ha,
- numer 125/40 o powierzchni 0,0034 ha,
- numer 145/1 o powierzchni 0,0104 ha,
- numer 100/22 o powierzchni 0,0026 ha,

– gminie Policzna, obręb 0016 Policzna (arkusz 3), oznaczone jako działki:

- numer 22/2 o powierzchni 0,0044 ha,
- numer 25/2 o powierzchni 0,0047 ha,
- numer 43/25 o powierzchni 0,0070 ha

– gminie Policzna, obręb 0022 Wilczowola (arkusz 1), oznaczone jako działki:

- numer 7/1 o powierzchni 0,0153 ha

Wyżej wymienione nieruchomości na podstawie decyzji Wojewody Mazowieckiego Nr 130/SPEC/2024 z dnia 25 września 2024 r., znak: WI–I.7820.1.5.2023.AW o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej dla inwestycji pn.: „Rozbudowa drogi krajowej nr 79 na odcinku Garbatka–Wilczowola od km 93+030 do km 100+711”, stały się własnością Skarbu Państwa z dniem 22 listopada 2024 r.

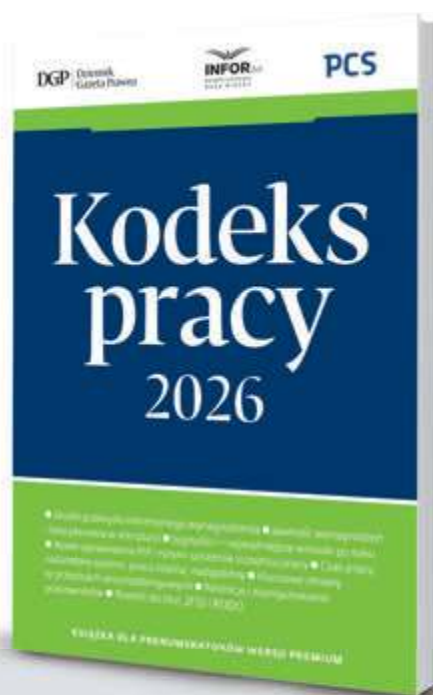
Ogłoszenie o toczących się postępowaniach odszkodowawczych za nieruchomości położone w gminie Głowaczów, powiat kozienicki

Wojewoda Mazowiecki – stosownie do art. 23 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (t.j. Dz. U. z 2024 r., poz. 311), art. 113 ust. 7 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz. U. z 2024 r., poz. 1145 ze zm.), w związku z art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz. U. z 2025 r., poz. 1691) – **informuje, że toczy się postępowanie administracyjne w sprawie ustalenia odszkodowania za nieruchomość, która posiadała nieuregulowany stan prawny, położone w gminie Głowaczów, obręb Moniochy, oznaczona jako działka:**

- numer 236/1 o powierzchni 0,0022 ha,

Wyżej wymieniona nieruchomość na podstawie decyzji Wojewody Mazowieckiego Nr 190/SPEC/2024 z dnia 30 grudnia 2024 r. znak: WIR–I.7820.2.4.2024.AW o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej, dla inwestycji pn.: „Rozbudowa drogi wojewódzkiej nr 730 w zakresie budowy ścieżki pieszo–rowerowej, chodnika, ścieżki rowerowej na odcinku Głowaczów – Moniochy”, stała się własnością Województwa Mazowieckiego z dniem 25 lutego 2025 r.

AUTOPROMOCJA



Bądź gotowy na zmiany w prawie pracy

Ustawa z komentarzem ekspertów do wprowadzonych i planowanych zmian w prawie pracy

- Skutki podwyżki minimalnego wynagrodzenia
- Jawność wynagrodzeń i luka płacowa w rekrutacji
- Sygnaliści – najważniejsze wnioski po roku
- Czas pracy: zadaniowy system, praca zdalna, nadgodziny
- Kluczowe zmiany w przepisach antymobbingowych
- Retencja i zaangażowanie pracowników
- Powrót do biur, ZFŚS i RODO



KOMUNIKAT



Wyciąg z ogłoszenia nr 8/2026

Prezydenta Miasta Jeleniej Góry



o przetargu ustnym nieograniczonym na sprzedaż nieruchomości położonej w Jeleniej Górze stanowiącej własność Miasta na prawach powiatu Jelenia Góra

Oznaczenie nieruchomości	ul. Jagiellońska 4, 4B – nieruchomość w granicach działki nr 41/6 o powierzchni 0,4414 ha, obręb Cieplice V, AM-1, księga wieczysta nr JG1J/00082177/7, zabudowana budynkiem mieszkalnym (pełniącym dawniej funkcję internatu) oraz kompleksem budynków niemieszkalnych		
Przeznaczenie w mpzp	MW,U – tereny zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej, tereny zabudowy usługowej		
Cena wywoławcza	1.850.000,00 zł	Wysokość wadium	185.000,00 zł
Termin wniesienia wadium	Wadium należy wnieść na konto Miasto Jelenia Góra – Bank Millennium S.A. nr 97 1160 2202 0000 0000 6011 5681 najpóźniej do dnia 13 marca 2026 roku. Datą dokonania wpłaty jest data uznania rachunku bankowego Miasta.		
Termin i miejsce przetargu	19 marca 2026 roku, godz. 10⁰⁰, Urząd Miasta Jelenia Góra, ul. Sudecka nr 29, I piętro, sala nr 13		
Miejsce wywieszenia i publikacji ogłoszenia	tablica ogłoszeń Urzędu Miasta Jelenia Góra ul. Ptasia nr 2-3, I piętro, strona internetowa: bip.jeleniagora.pl – oferty nieruchomości		

Szczegółowe informacje dotyczące przetargu można uzyskać w Wydziale Geodezji i Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miasta Jelenia Góra ul. Ptasia nr 2-3, I piętro, pokój nr 108; tel.: 75-75-49-893/879 oraz na stronie internetowej www.nieruchomosci.jeleniagora.pl

Urząd Miasta Jelenia Góra
www.jeleniagora.pl

AUTOPROMOCJA



Dziennik Gazeta Prawna

Bądź na bieżąco ze zmianami w prawie i podatkach w 2026 r.



PROMOCJA NA NOWY ROK

-50%



dgp.pl/prenumerata



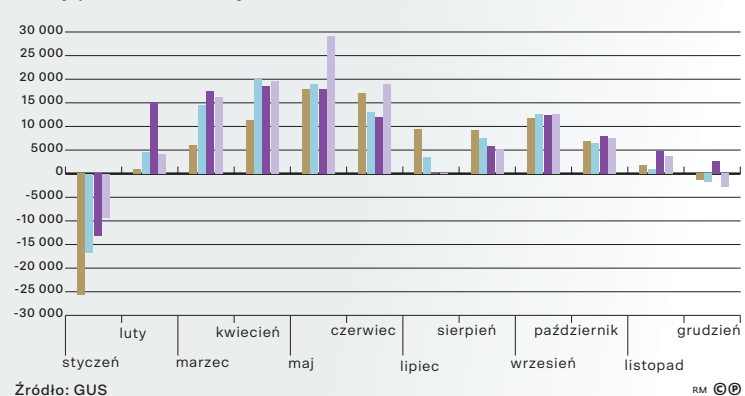
Łukasz

Wilkowicz

KSeF gasi ducha przedsiębiorczości?

Miniony rok był drugim z rzędu, gdy liczba podmiotów w rejestrze REGON (utożsamiana z liczbą firm, wśród nich przytłaczająca większość to jednoosobowe działalności gospodarcze) zwiększyła się o ponad 100 tys. Jeśli traktować to jako barometr przedsiębiorczości Polaków lub też warunków do prowadzenia biznesu – na pozór jest dobrze. Przyrost zawdzięczamy w głównej mierze ożywieniu z maja – czerwca ub.r. Dużej różnicy w liczbie zakładanych czy likwidowanych firm nie było w porównaniu z poprzednimi latami. Była natomiast różnica w liczbie zawieszonych działalności. Słabiej wyglądała natomiast końcówka roku. W grudniu ubyło wyraźnie więcej podmiotów niż w poprzednich latach. Możliwe, że to efekt kampanii dotyczącej wystawiania (i odbierania) faktur w systemie KSeF. ©

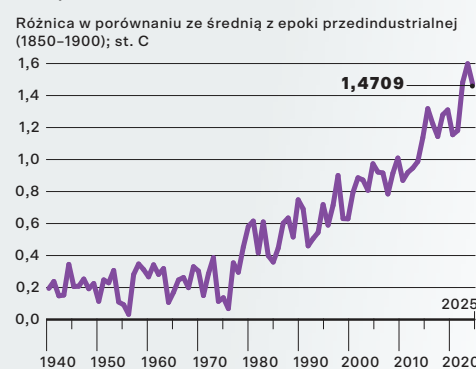
Miesięczne zmiany liczby podmiotów w rejestrze REGON



Zaczynamy się gotować

Średnia temperatura na naszej planecie w 2025 r. wyniosła 14,97 st. C i była o 1,47 st. wyższa od średniej z epoki przedprzemysłowej, wynika z danych Europejskiego Centrum Prognoz Średnioterminowych. Rok 2025 był trzecim w rankingu najcieplejszych lat w historii pomiarów. Było o włos chłodniej niż w 2023 r. i o 0,11 st. C chłodniej niż w najgorętszym dotąd 2024 r. Eksperci wskazują dwa główne powody wysokich temperatur: „nagromadzenie gazów cieplarnianych w atmosferze” oraz wyjątkowo wysokie temperatury powierzchni mórz, „co było związane ze zjawiskiem El Niño z innymi czynnikami zmienności oceanicznej, nasilonymi przez zmiany klimatu”. ©

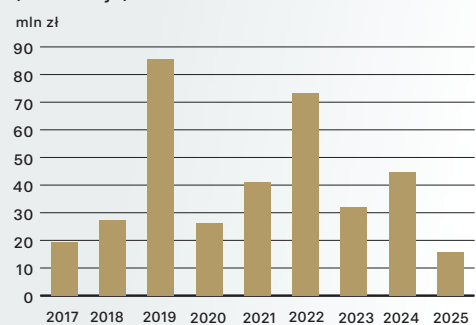
Temperatura na Ziemi



KNF nieco łagodniejsza

Komisja Nadzoru Finansowego nałożyła w ubiegłym roku na uczestników rynku niemal 70 kar o łącznej wartości 15,9 mln zł – wynika z zestawienia publikowanego przez sam nadzór (podsumowujemy sankcje nałożone w I instancji). To wartość

Wartość kar nałożonych przez KNF (I instancja)



mniej niż w poprzednich latach. Skoki w górę liczby nakładanych sankcji miały związek z rozliczaniem dużych afer na rynku finansowym. Tym razem było nieco spokojniej. Prawie 10 mln zł to wartość kar nałożonych na uczestników obrotu giełdowego. Złamanie ustawy o funduszach inwestycyjnych kosztowało ukaranych 2,6 mln zł, a na rynek ubezpieczeniowy przypadły kary o wartości nieco ponad 2 mln zł. ©



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Życie bez własnej waluty

Rafał Woś

Minęło ćwierć wieku, odkąd Ekwador zrezygnował z emisji swojej waluty i zastąpił dolarem amerykańskim. Wnioski, które da się wyciągnąć z tego eksperymentu, są wieloznaczne. Pogodzić mogą wszystkich: zarówno twardego głowy antyinflacyjnego liberała, jak i praktykujących demokratycznych socjalistów.

Przypadek Ekwadoru jest bardzo ciekawy, bo znacznie różni się od większości innych rezygnacji z własnej waluty. Nie jest to bowiem jedyny przykład dolaryzacji w Ameryce Łacińskiej. Jednakże pozostałe dwa kraje – Salwador oraz Panama – są mniejszymi organizmami gospodarczymi. A Ekwador to 20 mln mieszkańców. Jego casus można porównać z podobnej wielkości (a nawet większymi) gospodarkami europejskimi, które przyjęły euro. Fundamentalna różnica polega na tym, że państwa tworzące obszar wspólnego europejskiego pieniądza mają (mniejszy lub większy) wpływ na kierunki polityki monetarnej EBC. Ekwador zaś nie ma nic do powiedzenia w kwestii emisji dolara i polityki pieniężnej USA.

Ekwadorski eksperyment to nie było ani dopuszczenie amerykańskiego pieniądza w charakterze oficjalnego środka płatniczego obok własnej waluty, ani też czasowe związanie kursu swojego pieniądza z wartością USD. Nie, jego dolaryzacja była pełna. Stało się to w wyniku wojskowego przewrotu ze stycznia 2000 r. Ogłoszono wówczas wycofanie z obiegu sucre i natychmiastowe przewalutowanie trzymanych w tej walucie środków. Od tamtej pory wszystkie oficjalne transakcje płatnicze, zbiór podatków i wypłaty

wynagrodzeń odbywają się w Ekwadorze przy pomocy dolara amerykańskiego. A ponieważ bank centralny Ekwadoru nie ma prawa do kreacji zagranicznej waluty, to potrzebny do obrotu pieniądz jest po prostu raz na jakiś czas importowany z USA. Do kraju napływają też oczywiście dolary w ramach normalnych transakcji gospodarczych, np. jako dochody przedsiębiorców z eksportu albo pieniądz przywożony do Ekwadoru przez turystów. Najciekawsze jest to, że w zasadzie powołanie się na ten przykład może zadowolić wszystkie strony sporu o sens lub bezsens posiadania suwerennego pieniądza narodowego. Z jednej strony liberalni zwolennicy dolaryzacji podkreślają, że główny cel operacji został osiągnięty. Ekwador z kraju zmagającego się z permanentnie bardzo wysoką inflacją (średnioroczny wzrost cen w dwóch ostatnich dekadach XX w. nigdy nie spadł poniżej 20 proc., a bywało, że oscylował wokół 80–90 proc.) stał się gospodarką stabilną. Tu w pełni zadziałało założenie noblisty Roberta Mundella o tym, że przejście na obcą walutę dopasowuje poziom wzrostu cen do tego, który panuje w kraju emitującym pieniądz. I faktycznie – od 2003 r. inflacja w Ekwadorze jest w zasadzie tożsama z trendami w USA.

Z drugiej strony rację mają ci, którzy we własnym pieniądzu widzą jedyne skuteczne narzędzie prowadzenia sensownej polityki społecznej i antykrzysowej. Dowodzą, że cykl koniunkturalny Ekwadoru jest od 20 lat powiązany z amerykańskim. I tak do krachu 2008 r. tamtejsza gospodarka rosła, potem jednak nadeszły lata spadku i stagnacji, którym politycy mogli się tylko przyglądać. A jeśli do tego dochodziły jeszcze lokalne kryzysy, takie jak np. trzęsienie ziemi w 2016 r., to efekt był taki, że dziś ekwadorskie PKB per capita jest mniej więcej takie samo jak dekadę temu. Zaskakuje też odporność ekwadorskiej dolaryzacji na zdarzenia polityczne. Państwo to przez ostatnie ćwierćwiecze przeżyło zarówno kolejne epizody mieszania się wojskowych w demokratyczny porządek rzeczy, jak i rządy socjalisty Rafaela Correi. A także dwukrotne bankructwo kraju (w latach 2008 i 2020) i wiele innych politycznych zawirowań. A jednak dolar trwa. Jednocześnie na przekór wszystkim obawom oraz oczekiwaniom. Choć jednego z drugim nie da się podobno pogodzić. ©

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność” oraz publicystą wydawanego przez NBP „Obserwatora Finansowego”

Zrozumieć umowy handlowe

Oleg

Gurshev

Autor jest ekonomistą GRAPE

Liberalizacja handlu to złożony proces napędzany wieloma czynnikami, takimi jak: działania lobbingowe, wola polityczna czy okazje biznesowe. Ponieważ te zakulisowe mechanizmy są niewidoczne dla ekonomistów, to precyzyjne zmierzenie wpływu zmian wprowadzanych przez umowy o wolnym handlu jest niezwykle trudne. W istocie: badania z lat 70.–90. XX w. przynosiły niejednoznaczne wyniki w tej kwestii, szczególnie w odniesieniu do efektów handlowych powstania Wspólnoty Europejskiej, Mercosuru czy Paktu Andyjskiego.

Do niedawna ekonomiści robili niewielkie postępy w stosowaniu nowoczesnych narzędzi ekonometrycznych do badania skutków umów handlowych między państwami. W przełomowym badaniu Scott Baier (Uniwersytet w Clemson) i Jeffrey Bergstrand (Uniwersytet Notre Dame)

opracowali metodologiczne ramy, które pozwalają identyfikować ekonomiczne skutki takich umów handlowych. Ich podejście opiera się na wykorzystaniu dużych, kompleksowych zestawów danych obejmujących wiele dekad i gospodarek. Informacje te umożliwiają kontrolowanie za pomocą narzędzi statystycznych trudnych do zaobserwowania czynników, takich jak lobbing czy wola polityczna.

Ustalenia naukowców wskazują, że umowa o wolnym handlu zazwyczaj podwaja dwustronną wymianę między krajami w ciągu 10 lat. Sugeruje to, że efekty narastają stopniowo, a nie pojawiają się natychmiast. Co więcej, autorzy wskazują, że wpływ umów handlowych nie jest jednolity dla wszystkich par: np. państwa rozwijające się i rozwinięte mogą doświadczać korzyści o różnej skali. Co istotne, badacze wykazują,

że efekt ten jest trwały i nie wynika jedynie z tego, że kraje o już wysokim poziomie handlu są skłonniejsze do zawierania umów. Praca Baiera i Bergstranda dostarcza więc mocnych argumentów za tym, że umowy handlowe są potężnym narzędziem promowania globalizacji.

Reasumując: uważam ich pracę za przekonującą; sądzę, że wyniki ich badania znacząco poszerzają nasze zrozumienie, jak działa integracja gospodarcza. Znaczenie tych ustaleń dla polityki jest oczywiste: dostarczają one mocnych dowodów na to, że umowy handlowe przynoszą znaczące i trwałe korzyści w handlu dwustronnym. Ale zrozumienie prawdziwych przyczyn – politycznych czy ekonomicznych – zawierania umów handlowych nadal pozostaje istotnym obszarem badań dla ekonomistów. ©

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkiewicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska
Magazyn: Anna Masłoń
(kierownik), Piotr Czarnowski,
Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki
Opinie:
Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Płace:
Urszula Mirowska-Łoskot,
Joanna Pięńczykowska-
-Rybaczyk (tygodnik SiA),
Leszek Jaworski
(tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo
oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki
Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum
Reklamy:
Michał Krukowski
Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Członek Zarządu:
Marcin Krawczak
Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl
Partnerskie
biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 22 530 42 06

Druk:
Seregni Printing
Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich;
© – znak odpłatności;
© – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

INFORMACJA

Zamówienia
na prenumeratę
przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje
o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata